Nr. 12. Warszawa, dnia 11 (24) Marca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

Administracya kupuje po cenie sprzedaży Nr. 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10 i 11 Prawdy z roku bieżącego.

POLITYKA.

Tydzień polityczny. Dziwna opieszałość, czy przecenianie sił zatrzymały Boerów dłużej po nad rz. Oranje, niż nakazywała roztropność. Niepotrzebnie w szczupłych siłach ponieśli straty, których pozwoliłby uniknąć odwrót bezzwłocznie po katastrofie pardeberskiej rozpoczęty. I tak jeszcze szczęśliwymi być mogą, że żaden ich oddział nie uległ zaskoczeniu, jak korpus Cronjego. Anglicy stoją już pomiędzy Oranje a Vaalem i całą południową część rzeczypospolitej orańskiej zajmują. Trzy korpusy angielskie dążą ku Robertsowi z południa i zachodu. Niewątpliwie siły znaczniejsze natrą teraz na Boerów w Natalu; wydarcie wąwozu van Reenen i drogi do Harrysmith byłoby samo przez się klęską: mogłoby bowiem przy działaniu od Bloemfontein i Vrede w owym historycznym klinie na widowni bohaterstw z lat 1878—1881 zgotować Joubertowi los Cronjego. Opuszczenie Natalu byłoby wyznaniem niemocy, ale uchroniłoby od klęski w razie przegranej. Cokolwiekbądź, wojnę w gorszych warunkach strategicznych będą musieli prowadzić Transwalczycy na własnej ziemi; tu wszakże lepszemają społeczne i ekonomiczne warunki do walki. Pierwszego starcia oczekiwać potrzeba około Vinburga, na owej linii północnej, ku której dążyć był powinien Cronje, jeżeli miał zupełną swobodę działania. Niezmiernie ważnym punktem jes Harrysmith już w Natalu. Opanowanie jego wyprze wojnę odrazu do Transwalu.

Pośrednictwo w wojnie podejmuje dotychczas samo tylko współczucie tych, którzy polityki nie robią, albo ją robią na dalszą metę, w rozwiniętych jeszcze kształtach. Współczucia nie wyręcza i nie wyręczy dyplomacya.

Rada państwa w Wiedniu wybrała delegacyę: musi jeszcze zatwierdzić ugodę celno-handlową z Węgrami i przyjąć kwotę udziałową wspólnych wydatków. We wtorek się rozeszła, w końcu maja ma się napowrót zejść. Tymczasem — sejmy krajowe, galicyjski d. 26 b. m.

W Berlinie *lex Heinze* dużo robi hałasu. Centrum, broniąc ideałów, targuje się z rządem o flotę; musi mieć czek do rady związkowej na utrzymanie uchwały sejmu. Złagodzono trochę brzmienie paragrafów, zagrażających swobodzie myśli, ale treść została. Agraryusze i wstecznicy odnoszą jeszcze drugie zwycięztwo: przeprowadzają bakteryologiczne badanie mięsa amerykańskiego: utrudni ono handel, ale może się opłaci *latifundyom*.

Pogłoski o zmianach gabinetowych we Francyi ucichły.

Królowa angielska wybiera się do Irlandyi. W Dublinie wrzenie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KOLONIE LETNIE.

Dum spiro — spero.

Towarzystwo kolonij letnich m. Warszawy należy u nas do szeregu instytucyj, darzonych w klasyfikacyi kuryerkowej mianem „sympatycznych." Nietylko sympatycznych, ale i — szczęśliwych. Jeżeli bowiem wziąć pod uwagę warunki naszego życia i charakteru, owe stałe zapoczątkowania wigilijne świąt, które nie następują, owe ciągłe uwertury do niewyśpiewanych oper, prolegomena do genialnych dzieł nauki — niemające dalszego ciągu, i jeżeli z temi danemi porównamy historyę tej instytucyi, to ogarnia nas prawdziwe a radosne zdumienie. Zaczęło się to bowiem bez trąb reporterskich, bez uroczystych zapowiedzi; drobne kółko ludzi szlachetnych, „białą owianych szatą," zorganizowało się w „kółko filantropów" i z drobnych datków przed laty już blizko 20, za przykładem szwajcarskiego pastora Biona i frankfurckiego lekarza Varrentrappa, wysłało na trawę pierwszych kilkanaście latorośli nędzy wielkomiejskiej. Z tych kilkunastu i kilkudziesięciu szczęśliwców, z tego zalążka pracy rozumnej i uczucia szlachetnego wyrósł dziś już wielki organizm: według statystyki, podanej w ostatnim numerze *Prawdy*, wysłano w ostatnich kilku latach dzieci: *1,961* (1896 r.), *2,135* (1897), 2,222 (1898), 2,*586* (1899). Zamiast jednej skromnej kolonijki, dziś Towarzystwo rozporządza 14 miejscowościami, gdzie dzieci warszawskie zapominają, w ciągu kilku przynajmniej tygodni, o rozkoszach „izby piwnicznej." Zamiast kapitału żelaznego, który wynosił „nieskończoność dobrych chęci," dziś Towarzystwo posiada majątek, równający się 253,053 rb. 17 kop. Jest to nietylko w promieniu naszych instytucyj dobroczynnych fortuna magnacka, ale nawet w porównaniu z podobnemi organizacyami na Zachodzie europejskim i w Ameryce cyfra bardzo znaczna. Słowem, ten, kto pierwszy u nas rzucił posiew na to nowe, niezorane pole zabiegów dobroczynnych, może być i dumny i zadowolony.

W roku sprawozdawczym (1899) zgłosiło się do zapisu 5,309 dzieci, poddano rewizyi lekarskiej 3,731, wysłano 2,589: cyfra to względnie duża, ale zawsze niewystarczająca; czytamy bowiem, że 787 amatorów świeżego powietrza pozostało w mieście „dla braku miejsca." Otwiera się tu bolesny i dla komitetu i dla nas nawias.

Z liczby 2,586 dzieci wysłano prawie w jednakowej ilości chłopców i dziewczęta; pod względem *wyznań* różniczkuje się ta masa w stosunku 3 części chrześcian i 1 żydów; pod względem *wieku* najwięcej dzieci było 8 i 10-letnich (638 i 658); 7-letnich było 9, a 13-letnich 6. Pod względem wykształcenia $^1/_3$ była analfabetów, pod względem stanowiska cywilnego sierot i półsierot $^1/_4$; na sytuacyę społeczną rzuca ponure światło to, że w 1,630 przypadkach (63%) mieszkanie rodziców składało się z jednej izby, a w 861 wypadkach ($^1/_3$) — z 2 izb. Należy dodać, że przeciętnie w izbie mieszkało 5½ osób (najwięcej 16!). Co do stanu zdrowia, zanotowano na kartach kwalifikacyjnych: małokrwistość (1,816), skrofuły (1,705), krzywicę (324). Czy nie dosyć?

Opiekę i usługę na koloniach pełniło osób 101. Przeciętnie przyrost wagi u dzieci wynosił 4½ funta. Ogółem wydatkowano z górą 30 tysięcy rubli, przyczem wydatek, ponoszony przez Towarzystwo na jedno dziecko wynosił 9½ rb.

A jakże tam za granicą? Porównajmy np. cyfry warszawskie z danemi najnowszemi dla Berlina i Hamburga *). Berlin, miasto milionerów, jak mówią nad Sprewą, przy ludności 1,677,000 wysłał dzieci 4,479, Hamburg, który liczy 625 tysięcy (ilość zbliżona do zaludnienia Warszawy), wysyła zaledwie 1,850. Wogóle zaś wydatkowano w Niemczech (w 103 miastach, przy 156 towarzystwach) w r. 1898 z górą 1 milion marek na cele kolonij wakacyjnych. Na ten milion złożyły się różne wpływy: składki członków, darowizny, legaty, koncerty, przedstawienia teatralne, zasiłki rządowe i miejskie (z górą 100,000 marek, przyczem organy samorządu miejskiego asygnowały blizko 90 tysięcy) itd. Zaznaczamy ten szczegół w mniemaniu, że znajdzie się tu niejedna niewyzyskana dotychczas przez nasze Towarzystwo droga do powiększenia funduszów. Dlaczegoby np. magistrat m. Warszawy nie mógł wpisać do swego budżetu jednego czy dwóch tysięcy rubli, z przeznaczeniem tego zasiłku na rzecz biednych i chorych dzieci warszawskich. Kolonie letnie na równi z kanalizacyą wpływają na uzdrowotnienie miasta. Nietylko materyalne, ale może i moralne?

Na 28 marca r. b. zwołane zostało ogólne zgromadzenie członków Towarzystwa. Gdy piszemy te słowa, już pewnie ostrzą się strzały potępienia i nagany; niejeden z członków zwyczajem dorocznym będzie miał niejedno do zarzucenia: tu jakaś pozycya wydatków zbyt wielka, tam inna znowu niewystarczająca. To wszystko są sprawy drobnej wagi, zupełnie znikome wobec wielkiego *salda* pożytku i zasługi, jaką kolonie dają; są to wątpliwości, że tak powiem, natury wewnętrznej; nam nic do nich. Ale gdyby i nam wolno było się odezwać, nie w charakterze zainteresowanego członka, ale na mocy upoważnienia, które w ręce publicysty składa społeczeństwo, powiedzielibyśmy:

„Lepszy jest nieprzyjacielem dobrego.“ Pochwalamy i cenimy szczerze a serdecznie sumę czynów dodatnich już dokonanych. Uważamy jednak, że jest zbyt małą wobec ogromu potrzeb ludności ubogiej naszego miasta. Z liczby zgłaszających się do biura takie dziwaczne — boć tylko formalnie słuszne — przyczyny, jak „niestosowny wiek,“ „niestawienie się do biura,“ „fałszywy adres,“ „niechlujstwo,“ a przedewszystkiem *brak miejsca* — wykluczają połowę, jeżeli nie więcej, dzieci potrzebujących ozonu i mleka, ciszy i dobrego słowa. Więc trzeba temu zaradzić. Pomyślmy dalej, że nie wszędzie dotarła już wieść o koloniach letnich. Są całe szeregi zawodów, których przedstawiciele dzieci swoich koloniom nie powierzają. Po największej części rodzice rekrutują się ze sfer rzemieślniczych, a robotnik fabryczny, a człowiek z kanału, a wywożący śmiecie z miasta, a stróż, a kominiarz i cały dziesiątek „zawodowców,“ których stwarza wielkie miasto i jego zróżniczkowane potrzeby — ci wszyscy, którym ciemnota, brak czasu i nędza nie dają do ręki dziennika, którzy nie słyszą obwieszczenia z ambony, bo za daleko od niej dla stroju, wstydu i skromności znaleźć się muszą — czy oni nie zasługują przedewszystkiem na poparcie? Tych trzeba wyszukiwać, nawracać, bo tu nie o ich fizyologiczne potomstwo chodzi, ale o cząstkę narodu, o przyszłość.

Więc kolonij jest stanowczo za mało. Ale i te, które są, najczęściej ostać się nie mogą. „Darowanemu koniowi nie patrzą w zęby“—ofiarowane przez różnych „dziedziców“ mieszkanie nie podlega zbyt surowej krytyce. Każdy zrozumie, że nie są to mieszkania *ad hoc* budowane, wyposażone w to wszystko, czego wymaga hygiena i specyficzne potrzeby instytucyi. Byle jaki, byle jako sklecony dom, dla którego niema przeznaczenia w organizmie folwarcznym — oto dom kolonijny. Że tam niekiedy bywa ciasno, że są inne niewygody, stale dzieci i dozorców trapiące, że jest pewna zależność od właściciela, trudno: nic tu zarząd nie winien, bo musi z takiej gliny urabiać swoje naczynia, jaka mu się nadarzy. Ale jest jedna droga wyjścia: budowanie własnych domów. Taka działalność ma być zapoczątkowaną dzięki darowiznie spadkobierców W. E. Raua, przyczem przeznaczono 50,000 rb. na ufundowanie dwu stałych kolonij. Po tej drodze należy koniecznie, nieodzownie a wytrwale iść naprzód, tylko własne bowiem a stałe kolonie mogą ułatwić albo i umożliwić Towarzystwu spełnianie całego szeregu zadań, które je czekają w przyszłości.

Doświadczenie kilkunastoletnie wskazało dowodnie, że wilegiatura 4-tygodniowa często żadnych rezultatów nie daje, co gorsza — daje złe, chybione rezultaty; wyrywając bowiem chore dziecko ze środowiska stałego na przeciąg kilku tygodni, przerzuca organizm wyhodowany w otoczeniu fizycznem nędzy do czystego źródła rozkoszy, do których jednak dziecko tylko z wielkim trudem przystosować się może; wracając zaś po dniach kilkunastu do dawnych warunków — nic nie zyskuje, lecz najczęściej traci tylko. Radzono sobie zwykle w ten sposób, że dzieci bardzo osłabione pozostawiano na dalszy sezon; było to oczywiście ze szkodą dla innych dzieci, których miejsca zajmowano, nie dając żadnego równoważnika. Popełniano tedy niesprawiedliwość. Najczęściej zaś spostrzegano, że i 2 miesiące było za mało, że odbudowanie zdrowia do granicy normalnej wymagałoby znacznie dłuższego czasu, może kilku albo kilkunastu miesięcy. Na to jedna tylko byłaby rada: jedna kolonia musi być przez rok cały otwarta. Gdzie tylko na całej przestrzeni Królestwa znajdzie się dziecko, wymagające stałej albo dłuższej opieki, odesłanem zostaje do tej jednej „kolonii inwalidów.“ Wtedy można będzie mówić o rezultatach istotnych a dobroczynnych.

Z taką stałą kolonią łączy się organicznie inna jeszcze, ważna niezmiernie myśl. Oto jedną z największych trudności, którą pokonywać trzeba każdorazowo, jest sprawa personelu służbowego na koloniach. Skąd wziąć gospodyń uczciwych a rozumnych, dozorczyń dobrych a szlachetnych? To jest główna oś całej wielkiej maszyneryi, którą tworzy w swej złożoności organizm kolonii letniej. Wszak to zajęcie niestałe, zaledwie 3 miesiące w roku trwające. Efemerycznym zajęciom odpowiadają efemerydy... Wszak stale zajęta bona, freblówka, albo dobra nauczycielka nie rzuci swego zajęcia dlatego, aby po trzech miesiącach pracy na kolonii rozpocząć nanowo wędrówkę po zawrotnych krużgankach giełdy pracy. Dobra nauczycielka spracowana, zdenerwowana 10-miesięczną torturą w deptaku zwykłych zajęć, szuka odpoczynku dla ciała i ducha, a tego nie znajdzie w tłumie kilkudziesięciu niewychowanych, zewsząd zbieranych dzieci. Personel tedy uzupełniać trzeba z materyału dorywczego: panie bez zajęcia, itd., osoby wogóle może czcigodne, ale niewypróbowane, niewyszkolone, oto szeregi, z których wybierać trzeba. Taka stała kolonia mogłaby tej biedzie zaradzić. Mo-

*) *Die Ergebnisse der Sommerpflege in Deutschland im Jahre 1898.* Berlin, 1899.

---

8)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.
KONIEC ŚWIATA.*)

Krysto przestał czytać. Długo siedział milczący, zmęczony, z twarzą rozmiękłą w niewylanych łzach, gdy do pustelni wpadły echa stąpań i przyciszonych głosów. Wyszedł i ujrzał w wąwozie szybko posuwający się ku górze tłum ludzi, którzy za chwilę otoczyli go grubem półkolem. W świetle można już było rozpoznać chłopów wychudłych, bosych, okrytych łachmanami, z pod których wyglądało sine i brudne ciało.

Głosy.

Bądź pozdrowiony, święty człowieku.

Krysto.

Bądźcie pozdrowieni, bracia. Pewnie jakaś nowa bieda was tu przywiodła...

Chłop I.

Bieda, panie, to nie nasza kuma, ale komornica, która stale u nas mieszka i nigdy się nie wyprowadza. Nawet nie komornica, ale nasza matka i zarazem córka. Ona nas rodzi, a my ją rodzimy. Ona nas wychowuje, karmi, odziewa i do grobu kładzie.

Krysto.

Cóż się jednak stało, że przyszliście do mnie o tej porze?

Chłop I.

Wierna bieda nasza zaczęła kopać doły dla wszystkich. Słyszeliście, panie święty, jak nas zniszczyła wojna. Gdzie przeszedł ks. Onto ze swoją armią, tam stratowany badyl schował korzenie pod ziemię i boi się wypuścić nad nią listka. W żadnej wsi okolicznej niema ani kawałka chleba, ani żywego bydlęcia, ani jednej niezgwałconej kobiety.

Krysto:

Ks. Onto chyba nie wiedział o tem?

Chłop 2.

To go nic nie obchodziło.

Chłop 3.

Tak się spastwiono nad biednym ludem, który z siedmiu dni tygodnia musiał robić czternaście, ażeby dogodzić panom. Chyba bóg chłopa nie stworzył, że o nim tak zapomniał.

Chłop I.

Nie zapomniał, bo przysłał nam zarazę. Gdyby nie ona, jedni drugich musieliby zjadać. Ale dla panów wszystkich naszych nieszczęść było za mało. Chociaż z głodu żujemy już tylko igliwie i liście, kazali nam składać większe daniny, bo, jak mówią, król od nich zażądał większych opłat. Czy to prawda?

Krysto.

Nie słyszałem.

Chłop 3.

To powiedz nam, czy w księgach świętych napisano, że tego roku ma być koniec świata?

Krysto.

Ani słowa.

Chłop 3.

A jednakże wszyscy ludzie zaręczają. Nie taj przed nami... Bo jeśli rzeczywiście świat już się kończy, to nie warto myśleć o lepszej niedoli. Mniejsza o to, że bieda sobie jeszcze przez kilka tygodni na naszym grzbiecie pojeździ.

Krysto.

Ale skąd ta dziwna wieść przyszła?

*) Około r. 1000 rozpowszechniła się w Europie wiara w blizki koniec świata, która łącznie z rozpaczą skutkiem głodu, zarazy i rosnącego ucisku wywołała bunty chłopów i pobudziła ich do okrutnej zemsty na panach. Odbiciem tych zdarzeń są poniższe obrazy.

żnaby tam bowiem urządzić coś w rodzaju obecnie istniejących szkół dla froblówek.

Sądzimy dalej, że kolonie nie powinny być tworzone według szablonu. Rozmaitość natur ludzkich, normalnych i patologicznych, różnorodność chorób i braków—fizycznych i moralnych — jakie trapią ten mały światek dzieci, to wszystko powinno być uwzględnionem. W całej naturze panują zasady doboru i prawa różniczkowania; i w państwie kolonij letnich powinny one znaleźć zastosowanie. Dlaczego ograniczać się płaszczyzną mazowiecką i tężniami ciechocińskiemi? Dlaczego nie iść po zdrowie dla dzieci w góry Święto-Krzyskie? Dlaczego nie pokłonić się bogom morza — Neptunowi i Nereidom — nie rzucić kilku pałacyków kolonijnych nad Bałtykiem pod Libawą albo Rewlem, a dalej w Połądze albo Druskienikach. To robią Niemcy, Francuzi. Warto pomyśleć o naśladownictwie. Pomijając już wszystkie inne, warto chociażby dlatego, że należy widnokrąg umysłowy dziecka rozszerzyć, pokazać mu obcy krajobraz, innych ludzi, inne żywioły. W ostatniem sprawozdaniu niemieckiem, wzmiankowanem wyżej, czytamy, że w Lipsku zorganizowało się specyalne stowarzyszenie, które postanowiło obwozić dzieci ubogich rodziców podczas wakacyj *(Ferienreisen)*, zapoznawać je z widokami ludzi i rzeczy własnego kraju; w pierwszym roku wysłano 4 partye dzieci ze szkół ludowych w ilości 44 pod wodzą nauczycielki. Rezultat miał być wspaniały...

Mówiliśmy wyżej o tem, że wpływ pobytu na kolonii zaciera się bardzo szybko, rdza szarego zwykłego życia wyżera całą pogodę zdrowia, które udało się w cieplarni kolonijnej „zaszczepić." Nie stosuje się to tylko do chorych dzieci- -lecz do wszystkich wogóle. Ale o ile pierwszym trudno pomódz skutecznie (przynajmniej pomoc ta wymaga wielkich nakładów), o tyle z łatwością można zaradzić złemu, gdy o zdrowe — a tylko słabe, niedożywione — dzieci chodzi. W Szwajcaryi i Niemczech znaleziono na to sposób. Po powrocie ze wsi przez pozostałą część roku 2—3 razy w tygodniu gromadzi się dzieci z kolonii w lokalach szkolnych i tam „panie z komitetu" ofiarują dzieciom podwieczorek. Nie trzeba na to heroizmu. A pomyślmy tylko, co znaczy szklanka czystego, nie warszawskiej fabrykacyi, sterylizowanego mleka i kromka zdrowego pożywnego chleba dla dziecka, żyjącego bakteryami sutereny?

Mielibyśmy jeszcze wiele do powiedzenia, wiele do zapisania w karneciku członków komitetu kolonij letnich. Ale i dyskusya nad rzuconymi powyżej projektami — niestety tylko w cieniowej, bezcielesnej podanymi formie — wypełnić może nie jeden wieczór. Przepraszam, mówiąc o *dyskusyi* — czy nie robimy „rachunku bez gospodarza?" A więc te projekty są godne dyskusyi? zasługują, aby się urzeczywistniły? A może to fantasmagorye, marzenia..

Marzenia... powie kto. Może i marzenia. Czemże byłby ten świat bez marzeń? Czemże i czy byłyby dziś „Kolonie letnie," gdyby nie marzenie, nie srebrny sen kilku dobrych, prawdziwie dobrych ludzi? Pamiętajmy zawsze, że my wszyscy — planety, oceany, ludzie — dziećmi jesteśmy, krwią z krwi i kością z kości jednego prarodzica — *Słońca*. Ono to właśnie, wydzielając nam w życiu dziedzictwa przeróżne, dało jeden atrybut wszelkiego człowieczeństwa—marzenie. *S. P.*

LISTY PETERSBURSKIE.

Zjazd kryminologów. — Pan Jan Maurycy Kamiński jako adwokat-specyalista. - Pan Erazm Piltz.

W literaturze rosyjskiej naukowej, beletrystycznej i publicystycznej istnieje już bogaty dorobek z ostatnich lat kilkudziesięciu, osobny dział, poświęcony zbrodni i karze: Dostojewskij, Leon Tołstoj, A. Czechow, Doroszewicz i wielu innych, zajrzeli nietylko do głębi duszy „zbrodniarza," ale także umieścili pod drobnowidzem nastrój duchowy wykonawców sprawiedliwości i te wszystkie środki, którymi oni się posługują. Lud rosyjski obdarza przestępców jednem ogólnem mianem „nieszczęśliwych." Prawo zaś posiada mnóstwo klasyfikacyj według paragrafów. Po za artykułami atoli pozostaje doniosłe zadanie — inna klasyfikacya, którą powinni robić już przedstawiciele Sprawiedliwości, zadanie oczywiście najtrudniejsze: Czy przestępca jest z gruntu znieprawionym? Czy jest zbrodniarzem świadomym, czy też nieświadomym, mimowolnym? Sądy przysięgłych usiłują czasem te pytania roztrząsać i badać dorywczo duszę zbrodniarza. Sądy koronne, trzymając się logicznie kodeksu, widzą tylko zbrodniarza, należącego według pewnych artykułów do tej lub innej kategoryi. Skutkiem tego chłop, który wykręcił z szyny śrubkę, ażeby ją użyć na ciężarek do wędki, idzie do robót ciężkich za „zamach na pociąg," wraz z zabójcami i gwałcicielami.

W ostatnich czasach sfery prawodawcze zwróciły na to wszystko baczną uwagę, dzięki czemu na zwołanym niedawno zjeździe kryminologów w Petersburgu roztrząsano szczegółowo i wszechstronnie sprawę wyroków warunkowych. Mianowicie chodzi tu o wprowadzenie takiego systemu, któryby pozwalał przestępcy korzystać z odroczenia kary do pewnego terminu. Jeżeli w danym okresie nie popełni drugiej zbrodni, jeżeli będzie prowadził życie wzorowe i tem samem udowodni, że może nadal należeć do społeczeństwa — trzeba go uwolnić od kary, oznaczonej w wyroku sądowym. Oczywiście mowa tu jest o przestępcach przypadkowych lub mimowolnych, takich, których do zbrodni pchnęły szczególne okoliczności i warunki życia, albo wreszcie pewna nieświadomość. Niejednokrotnie już stwierdzono zabójczy wpływ więzienia na stan moralny skazanych. Te właśnie smutne rezultaty kary mocno podkreślili uczestnicy zjazdu kryminologów. Dopiero w więzieniu dusza ludzka zaraża się ostatecznie pierwiastkami zbrodni, których następnie już nigdy nie wypleni nietylko najsurowsza kara, ale nawet najhumanitarniejsze traktowanie zbrodniarza.

System kary warunkowej przyjęto już w innych państwach (Anglii, Belgii, Francyi, Niemczech, Portugalii, Norwegii, częściowo w Szwajcaryi, w stanie Mussachusets, Kanadzie, Nowej Zelandyi, Wiktoryi, Australii południowej i in.). Według sprawozdania zarządu więziennego w Anglii 1898 r., skazani warunkowo dali tylko 6% recydywistów, gdy tymczasem ci, którzy odbyli karę w więzieniu — aż 30%! Tym sposobem 24% przestępców wytwarzają więzienia i to tam, gdzie są urządzone znacznie lepiej, niż w Rosyi. Pomimo tak wyraźnych dowodów, przemawiających za systemem kary terminowej, na zjeździe niniejszym znaleźli się przeciwnicy: szczególnie zaś oponował prof. Duchowskoj, utrzymując, że taki system w Rosyi jest jeszcze przedwczesny, dopóki niema patronatów. Nie podzielił tych zapatrywań prof. Fojnickij, który całkiem słusznie utrzymuje, że związywanie systemu kary warunkowej z patronatem byłoby niemal

---

Chłop 3.

Z nieba, ojcze, z nieba. Z kazalnic już głoszą, do pokuty wzywają... Ale my możemy próżnować, bo swoją pokutę odrobiliśmy. Od roku puste kiszki nasza śpiewają, a zęby dzwonią. Zapomnieliśmy nawet, jak wygląda bochenek chleba. Każdy z nas lekki, jak upiór. Śmierć może całą wieś wziąć odrazu na plecy i odnieść bez trudu do piekła lub nieba.

Krysto.

Nie bluźnij.

Chłop 4.

Gorzej nam nie będzie. Dyabeł nie udręczy więcej, niż pan, a przynajmniej nakarmi smołą. Oj, oj, ja bym ją dziś ze smakiem jadł, oblizywał jak miód, pił we wrzątku — i nie bluźniłbym.

Krysto.

Rozumiem waszą nędzę...

Chłop 4.

Nie, ojcze, nie rozumiesz, za duża. I my tylko odczuwamy każdy swoją. To tak, jak gdybyśmy dźwigali las: ile on waży, nie wiedziałby żaden, a każdy znałby tylko swój ciężar.

Chłop I.

Z początku ludzie mówili, że jak król ukorzy wasalów, to nas od nich uwolni i jemu tylko będziemy płacili za ziemię. Tymczasem ich zostawił i tylko zażądał więcej pieniędzy, których my im dostarczyć musimy. Niech nas katują, aby tylko dali jeść. A oni każą nam rozciągać dnie na tygodnie i wszystko oddawać.

Chłop 5.

Koniec świata, koniec świata!

Chłop I.

Cicho, nie szalej!

Chłop 5.

Dlaczego nie mam się cieszyć, kiedy idzie koniec? Napłakałem się dosyć, teraz się powesolę. Oj ludzie, będzie koniec dla wszystkich! Razem z nami polecą w przepaść panowie. Ha, ha, ha! Jeśli który będzie się ociągał, to ja go kopnę i strącę. My wygłodniali będziemy spadali jak piórka, a oni się zwalą jak kłody. Ha, ha, ha! Przebaczę im, abym to widział.

Krysto.

Obłęd was złapał.

Chłop 6.

My będziemy fruwać — ot, tak, jak ja teraz. Jestem motyl, wczoraj wyląglem się z pączka jaśminu. Czy widzisz, pustelniku, te modre kółka na moich skrzydłach? To są oczy patrona głodnych. Ponieważ mu się już trochę zniszczyły, więc mi podarował dla ozdoby, a sobie wprawił nowe. Ma zapasowych pełną skrzynię. Prosiłem go o kawałek chleba — nie dał, bo, jak mówi, nigdy nie jada. Ale kłamie! Kto to nie jada, jeśli ma! Jednego dnia rozgniewał się na mnie o to, że siadłem nad kałużą i powalałem sobie jego oczy: jak mnie wtłoczył w błoto, jak zaczął w niem nurzać... Wreszcie wyrwałem mu się z ręki i odfrunąłem — ot, tak!

Rozpostarł ręce obwieszone łachmanami i zbiegł do wąwozu.

Krysto.

Nieszczęśliwy.

Chłop I.

Takich mamy wielu. Poszaleli z nędzy.

Wystąpił z gromady chłop wysoki, barczysty, z ciemną, suchą skórą na grubych kościach, z głową porosłą kudłami.

Chłop 7.

Więc zapewniasz, dobry człowieku, że teraz nie będzie końca świata?

Krysto.

Tego Bóg nikomu i nigdy nie powiedział.

Chłop 7.

No, to my koniec zrobimy. Dziś jeszcze weźmiemy się do roboty. Pobłogosław nam, panie.

Ukląkł przed pustelnikiem, a za nim wszyscy obecni, którzy krzyknęli:

Głosy.

Pobłogosław!

odrzuceniem tak ważnej sprawy. Tymczasem warunkowe wyroki i odroczenia kary mogą ocalić tysiące ludzi od ostatecznego upadku i piętna hańby, która wiecznie aż do zgonu prześladuje przestępców przypadkowych, mimowolnych, bez względu na ich rzetelną rehabilitacyę i nawet późniejsze życie bez skazy.

Wogóle większość uczestników zjazdu przemawiała za systemem wyroków i kar warunkowych. Przygotowano tedy grunt, na którym niewątpliwie zrodzi się tak doniosła i pożądana reforma społeczna. Drugą kwestyą ważną, poruszoną na zjeździe, była opieka prawna nad dziećmi. Mówiono: 1) o dzieciach przestępcach, 2) o pozbawionych opieki, 3) ofiarach zbrodni i wreszcie 4) o takich dzieciach, z których w przyszłości wyrastają zbrodniarze. Szczególny nacisk położono na potrzebę opieki prawnej nad dziećmi, z któremi surowo się obchodzą rodzice lub inne osoby.

Skoro mowa o zbrodniarzach, kryminalistach i kryminologach, nie od rzeczy będzie poświęcić słów kilka panu Janowi Maurycemu Kamińskiemu. Jest pewna kategorya teoretyków, którzy zbrodnię uświęcają jako zjawisko niezbędne i pożyteczne w rozwoju społeczeństw. Ci sami ludziom uprzywilejowanym pod względem zasobów duchowych i innych pozwalają na wszelkie wybryki, nawet na zbrodnie, albowiem to przynosi również korzyść ludzkości. Wyznawcą tych idei poniekąd jest także pan Jan Maurycy Kamiński, jakkolwiek w jego zapatrywaniach i dążeniach tkwią głęboko inne pobudki. Do wieńca jego wawrzynów przybył niedawno jeszcze jeden listek, świeży i wspaniały. Posłuchajmy, co o tym panu mówią *Nowosti* z powodu procesu policmajstra w Wilnie: „Obrońca Rajewskiego, adwokat przysięgły, niejaki p. Kamiński, do głębi przesiąknięty duchem sprawy, bardzo sprytnie mówił w tonie i smaku wyjaśnień, wydobytych z fantazyi i dowcipu jego klienta. Sam obrońca, jak widać, starał się w swojej mowie być oryginalnym, błyskotliwym i dowcipnym. Skutkiem tego adwokat byłego policmajstra, oskarżonego o łapownictwo i wyzysk, wymienił we wstępie swojej mowy Michała Anioła i Rafaela, napomknął o „klubie (?) niedojrzałych"; następnie w dalszym ciągu powołał się na nieuniknione braki urzędników policyi, na „cały ustrój państwowy i społeczny w Europie" i zakończył swą mowę apostrofą gorącą do sędziów, ażeby pamiętali o „miłosiernych słowach Chrystusa..." Warto się poznać ze sztuką adwokacką i talentem tego obrońcy. P. Kamiński jest bardzo ciekawym i rzadkim typem adwokata-specyalisty, który, jak czytelnik wkrótce się przekona, już *trzydziesty dziewiąty* raz bronił urzędnika policyi, pod wpływem tej rozległej i różnorodnej praktyki przejął się taką tolerancyą braków zawodowych i pokus swoich klientów ukochanych, że przyszedł do wniosku, jakoby na łapownictwo i zdzierstwo krzywią się przeważnie tylko idealiści dyletanci (*sic!*), którzy mogą na ten temat pisać nawet dobre wiersze, mające wartość marzeń szlachetnych."

Oto wstęp mowy pana Kamińskiego: „Trzydzieści dziewięć razy w mojej praktyce zawodowej zdarzyło mi się bronić urzędników policyi, a w tej liczbie cztery razy policmajstrów. Rozporządzając tak bogatą statystyką, miałem sposobność zauważyć, że w większości wypadków opinia publiczna, zwłaszcza na początku sprawy, występuje przeciwko oskarżonemu, a nawet bodaj i przeciwko obrońcy. Nie mówię już o nieśmiertelnym (?), wszędzie istniejącym *klubie* (!) *niedojrzałych* (?), który w takich wypadkach gotów jest zarzucać obrońcy prawie *zdradę* stanu lub ojczyzny. Nawet ludzie poważni, rozsądni, o szerszym widnokręgu pojęć, i ci mówią: „Jak sobie chcecie, ale sprawa jest nieprzyjemna i niesympatyczna." Przypuśćmy, zgodzę się na to, że o wiele przyjemniej, o wiele sympatyczniej jest malować farbami anielskiemi (?) Madonnę Przeczystą, niż roztrząsać sprawy kryminalne w roli obrońcy, oskarżającego, albo nawet sędziego. Ale przecież i Michał Anioł siedział w fortecy, i Rafaela, jeżeli się nie mylę, pogrążono na zasadzie art. 277 (!!), mówiąc językiem kodeksu. Z tego wynika, że zaczynając *od wielkich* geniuszów ludzkości a kończąc na dorożkarzu Idzku Berku Rutlu lub Jakóbie Borysowie, każdemu, choćiaż z różnych przyczyn, może się przytrafić małe nieporozumienie, małe starcie z policyą, które znowu wywołać musi niezadowolenie i stronność."

W dalszym ciągu przemówienia p. Kamiński staje już na stanowisku wzmiankowanej powyżej kategoryi teoretyków. Co więcej: posuwa się on nawet do apoteozy: „Niedawno (!) jeszcze cały ustrój państwowy i społeczny w całej Europie opierał się prawie wyłącznie na policyi; w ostatnich wiekach, w wielu krajach nawet za naszych czasów, wprowadzono różne instytucye i porządki, które podzieliły między sobą pracę społeczną organizacyjną i wykonawczą. Atoli prawie wszystkie te instytucye wymagają pomocy policyi, a nawet kto wie, czy nie utrudniają jej pracy. Im powien kraj stoi bliżej dawnych tradycyj i nawyknień, tem jego nowe instytucye mniej są jeszcze wyrobione, tem więcej policya ma pracy. Sąd, zarządy miejskie, ziemstwa, instytucye handlowe, sanitarne, wychowawcze, agrykulturalne (?), przemysłowe, asekuracyjne i wreszcie poświęcone zabawom — wszystkie wymagają policyi. Co tu dużo mówić i wyliczać? Jak stwierdzają drukowane sprawozdania urzędowe, nawet misyonarze w swojej walce religijnej ze sztundą przyszli w roku ubiegłym do przekonania, że bez pomocy policyi trudno jest cokolwiek zrobić."

Nowosti dodają od siebie: „Jeżeli specyalista obrońca policmajstrów upadłych, ściganych przez nieubłagane prawo i żółć prokuratorów, mówił i przedtem — trzydzieści dziewięć razy — tak błyskotliwie, sprytnie i zajmująco, tak jasno, z takim samym sensem i erudycyą — to tylko żałować trzeba, że nie wydał swoich mów w osobnym zbiorze..." Żałując tego wraz z *Nowostiami*, musimy jeszcze podnieść jedną cnotę p. Kamińskiego: odwagę.

Drugim bohaterem chwili jest p. Erazm Piltz. Umieścił on w swoim organie takie niewinne uwagi: „Prasę polską krajową i zagraniczną, obiegła niedawno notatka jednego z pism warszawskich oddająca wielkie pochwały korespondencyom galicyjskim *Siewiernego Kuryera*. Jest to najwidoczniej jakieś *qui pro quo*." Redakcya tego pisma „dobrała korespondenta galicyjskiego z pod ciemnej gwiazdy. Wszystkie swoje natchnienia i informacye czerpie ten pan z mętnych źródeł socyalizmu." „Nie trudno domyślić się — kończy *Kraj* — kto jest autorem surowych o Galicyi sądów. Z pod przezroczystego kryptonymu (J—O) wyraźnie wychyla się postać małego antagonisty wielkich poetów." Inne pismo pochwyciło w lot łatwą szaradę *Kraju* i rozwiązało ją z tryumfem, wymieniając imię i nazwisko korespondenta „z pod ciemnej gwiazdy." Na denuncyacyę *Kraju*, *Siewier. Kuryer* odpowiedział w tonie spokojnym, a pan Piltz zaciera ręce, zadowolony, że mu do wielu zasług obywatelskich przybyła jeszcze jedna.

Paweł Krzyżanowski.

Krysto.

Zbrodnię?

Chłop 7.

To nie zbrodnia, to obrona. Czy wielki wódz ks. Onto nie zabijał?

Krysto.

Posłuchajcie mnie...

Chłop 7.

Owszem, będziemy cię słuchali, ale prowadź nas do zemsty. Jeśli nas nie chcesz nawet pobłogosławić, milcz.

Krysto.

Jedno słowo...

Chłop 7.

Nie łakniemy tego przysmaku.

Krysto.

Biedni bracia moi, zastanówcie się nad skutkami: Bóg i ludzie was srogo ukarzą.

Chłop 7.

Większej kary nie wymyślą nad tę, którą znosimy. Żadnego z nas nie przerobią na dwóch, ażeby więcej cierpiał. Ostatni raz prosimy: pobłogosław.

Krysto.

Nie.

Chłop 7.

To przynajmniej rozgrzesz.

Krysto.

Nie.

Chłop 7.

Obejdziemy się. Może ty jesteś święty, ale z pewnością nie jesteś miłosierny. Ukochałeś swoje zbawienie, ale nie naszą niedolę.

Krysto.

Na taki wyrzut serce moje u was zasłużyło?

W głosie jego zadrgał głęboki żal.

Chłop 7.

Nie rozczulisz nas... Omyliliśmy się... Myśleliśmy, żeś lepszy... Ale nie skarż się... Zapamiętamy ci wszystkie dobre uczynki. Chłop za mało doznaje litości, ażeby o najmniejszym jej okruchu zapomniał. Bądź spokojny, twój skalisty domek nie stanie w płomieniach, obleje się tylko łuną pałaców i dworów, z których wszakże jeden pozostanie nietkniętym — ta oto czysta siedziba naszej świętej panienki w Orabie. Ona rozumiała naszą krzywdę, ona cierpiała nad naszą męką, ona dzieliła z nami głód i rozpacz.

Twarz Krysta rozjaśniła się bolesnym uśmiechem.

Krysto.

Jeśli ona będzie z wami, to ja was pobłogosławię.

Głosy.

— Nie, nie!

— My jej o to nie prosiliśmy!

— Ona nic nie wie!

Chłop 7.

My do niej przychodziliśmy z bezsilną nędzą, z pokorną wiarą w dobroć Boga i ludzi, ona brała nasze strapione głowy w swoje anielskie ręce i całowała je... Tak, pustelniku, ona całowała te brudne głowy... Dziś nie staniemy przed nią, bo może odwróciłaby się od nas, może... My już nigdy jej nie zobaczymy, gdy okrwawimy nasze ręce. A okrwawić je musimy.

Krysto.

Ale ona o tem się dowie?

Chłop.

Zapłacze, ale przebaczy: ona nikogo nie przeklęła, to i na nas złego słowa nie rzuci.

Krysto.

Więc dobrze... Wstrzymajcie się jeszcze tylko przez dzień dzisiejszy. Zbierzcie się wieczorem na dolinie pod tą górą. Ja do was przyjdę i dam wam odpowiedź.

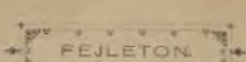
Głosy.

— Niech tak będzie.

— Ale, ojcze święty, przynieś od niej słowo, bo cię nie usłuchamy.

Jak lawina zsunęli się szybko z góry i jak wezbrana rzeka popłynęli wąwozem.

(C. d. n.)



Z CZASU.

Aspirant.

Któregoś dnia, o szarej godzinie, wsunął się do mego pokoju z miną zakłopotaną i prośbą w oczach. Ponieważ ludzie z dyplomami uniwersyteckimi są platonicznymi wykonawcami testamentu po senatorach rzymskich, którzy radzi popierali oddanych sobie klientów, więc spokojnie czekałem, co mi gość powie.

— Proszę pana, chciałbym zdawać na patent gimnazyalny.

— Seryo? — zapytałem.

— Tak jest: sądzę, że, pracując po kilka godzin dziennie, zdam za cztery lata, a może i za trzy.

Spojrzałem gościowi w żywe, niebieskie oczy, a myślą pobiegłem w przeszłość...

Oto dwanaście moich lat gimnazyalnych — wszystkie ogromnie długie, oto szereg korepetytorów — wszyscy wpatrzeni w tego śmiałka i zdziwieni, co mi sprawia pewną przyjemność.

— Siadaj pan!

Sam położyłem się na sofie, ażeby sobie zredagować na suficie odpowiedź i radę.

Ujrzałem zastępy patentowanej młodzieży, dążącej do uniwersytetów, a potem do bytu, tego parawanu, którym staramy się osłonić najnieprzystojniejszą część śmierci. Mozolny to pochód, wyglądający chwilami uroczyście, opłakiwany przy braniu dwójek, nagradzany przy „braniu" rozmaitych przeszkód. Przyszedł mi na myśl wjazd Ludwika XIV do Reims na koronacyę: stary sztych przedstawia perspektywicznie sunącego się węża z ludzi i zwierząt, a w odstępach uwagę widza zwraca na siebie jakiś baldachim, albo pióropusz... Po co ci ludzie okrążają ten oto wzgórek, czemu w miejscach, gdzie mogliby uczynić jeden krok naprzód, robią wiorstowy zakręt? Może o to im chodzi, ażeby orkiestra marsza dograła? Ale Ludwik XIV może się nie spieszyć, gdyż otaczają go tłumy wiernych, cierpliwych. Tymczasem w pielgrzymce do dyplomu każdy z nas był Ludwikiem XIV, każdy miał swoją czajną świtę, która oczekiwała go w domu z karą, groźbą, wymówką, zachętą lub pochwałą, która smakuje jak wszelka zaliczka. Przygrywała wówczas jedyna w swoim rodzaju orkiestra piór skrzypiących ekstemporalia... pieśń dziadów z „Fausta" na nieogranych, nigdy niestarzejących się instrumentach...

— Na co panu potrzebny patent? Chcesz pan zostać prawnikiem, lekarzem, profesorem, czy inżynierem?

— Jeszcze nie wiem, proszę pana, ale jestem pewny, że z patentem, a potem może i z dyplomem zajdę dalej i prędzej.

— A, więc nie wiesz — pomyślałem — tak samo, jak ja...

Siadłem na sofie i wyrecytowałem prosto z sufitu:

— Chcesz pan iść szybko? Dobrze, ależ do tego potrzeba tylko wiedzieć, gdzie się ma iść. Masz pan lat dwadzieścia i czujesz popęd do wiedzy, więc omiń łacińsko-greckie abecadło, opuść setki tłomaczeń i ćwiczeń, a tak, nie zaznawszy żadnych egzaminów, możesz się pan wykształcić dzięki poradnikom dla samouków, korzystając z pomocy przyjaciół, do których i mnie pan chyba zalicza. Wiesz pan, co mówi Francuz o dzisiejszym patentowanym młodzieńcu? „Nie umie ani łaciny, ani greckiego, ale za to nie umie także języków nowożytnych, ani geografii, ani nauk przyrodniczych, młodzieniec taki jest to potworek, jest to cudowne nic." Inny Francuz dodaje, że nowoczesny realista tyleż wart, co klasyk. Możeś pan czytał wypadkiem ładną książkę Demolins'a pod tytułem „Nowe wychowanie"?

— Czytałem, panie, i powiem, że gdybym miał dużo pieniędzy, zrobiłbym pana Demolins'a dyrektorem ufundowanej przeze mnie szkoły typu angielskiego, gdzie się dwa razy dłużej śpi, niż siedzi nad książką. Ale ja pieniędzy nie mam: dla mnie wszystko, co powie pan Demolins, jest za drogie. Zachwycony jestem wolnością, z jakiej korzystają młodzi Anglicy. Mogą oni studyować Homera na stogu siana, a geometryę na gałęzi drzewa. Ja również potrafię zapisać pół kajetu w ciasnej izdebce mojej matki — na kufrze, a różnię się od młodzieńca angielskiego z tej sfery, którą pan Demolins otoczył swą opieką, tylko tem, że nie rozporządzam według swej woli pieniędzmi, a więc i czasem. Dla mnie wszystko, co mówi Payot, jest za długie: ja nie mam czasu na podziwianie, raczenie się płatną systematycznością mojej pracy codziennej, a wola zahartowała mi się w zaduchu ciasnego pokoju, wśród podartego i pełnego plam otoczenia. Na sposoby kształcenia ciała i woli, zalecane przez pana Plenkiewicza, patrzę jak na wystawę jubilerską: ja ze wszystkich sportów uprawiam stale gimnastykę na — trzydziestu piętrach dziennie: a z takich środków do kształcenia woli, jak przykład domowy, przyzwyczajenia, budzenie poczucia obowiązku, hartowanie woli przez pokonywanie złych skłonności oraz ideały etyczne, stósowałem od najmłodszych lat przyzwyczajenie — do biedy, budzenie — o szóstej rano do roboty wraz z poczuciem — snu. Młodzież szkolna łatwiej sobie radzi, chociaż rodzice i nauczyciele w całej Europie narzekają na wady systemu szkolnego. Dajcież i mnie narzekać, pozwólcie mi wziąć udział w waszych kłopotach, wpuśćcie mnie tylko na ten bal, którego panowie Payot, Demolins, Plenkiewicz są gospodarzami, a może wam luster nie potłukę. Rozumiem, że w tym celu muszę zdobyć wszystko, co można. Widzi pan, ja nie miałem ojca, któremuby p. Lemaître mógł powiedzieć, że nie warto oddawać chłopca do szkół dzisiejszego systemu, a moja matka nie napisze do p. Demolins'a listu z prośbą o datek na moje wykształcenie. Bogate matki z Saint-Cyr, oficerowie marynarki z Brest i wielcy przemysłowcy z Paryża mają wszystko, więc się skarżą przed p. Demolins'em i zasięgają jego rady, a moja matka nie ma nic, więc milczy, na moje szczęście, nie potrzebując żebrać dla mnie. Od siedmiu lat życia w godzinach mego snu i pracy nic nie można było zmienić, gdyż zginąłbym z głodu, śpiąc. Pan Lemaître narzeka na wychodzące ze szkół potworki, które nic nie umieją, a toż ja tu, nie będąc w szkołach, mając zaledwie pewne aspiracye, uchodzę za potworka. Nie wątpisz pan zapewne, że pod względem fizycznym jestem od ciebie mocniejszy: ale gdy panu oznajmię, że wolę czytać Maupassant'a, niż Anatola France'a, gdyż gniewa mnie jego aksamitna ironia, wówczas będziesz się pan dziwił. Ach, panie, ten podziw, ten zabójczy podziw! Wszak pan się będziesz dziwił, gdy ci wyrecytuję treść czwartej, nie dwudziestej części książek, objętych przez obydwa tomy „Poradnika," ułożonego dla samouka, dla mnie. Chcę więc, ażebyście mnie do roboty wzięli i przestali się dziwić. Skacząc z dyplomem, nie połamię sobie nóg tak prędko, jak na bruku ulicznym, gdyż wystąpię na równej arenie.

— A — pomyślałem — więc tobie się chce skakać — i w pierwszej chwili coś mi szepnęło:

— Nie daj mu!

Upadłe kobiety lubią ogromnie wciągać niewinne dziewczyny lub wierne żony w sieci intryg miłości nielegalnej: dogadza to ich nerwom i miłości własnej; ale nigdy uliczna, zarabiająca dziewczyna nie będzie protegowała swej koleżanki, z którą nie jest związana interesem. Ta chce jak najwięcej cnoty od sąsiadek.

Nasi dyplomaci postępują podobnież. Są, jak białe ciałka krwi, zawsze gotowe do walki z taką bakteryą, jak mój gość...

Zadałem więc sobie pytanie, czy nie działoby się inaczej, czy nie gardłowalibyśmy za koniecznością zdobywania dyplomów przez samouków, gdyby tu nie chodziło o przewidywane dochody. Ponieważ o to chodzi, więc pomyślałem, czy my, upadli w kilkunastoletniej rutynie, wcześnie pozbawieni cnoty samouctwa, oddani *à fond perdu* wzamian za rentę z naszych stanowisk, nie stajemy się aleją zagadkowo uśmiechniętych sfinksów, prowadzącą do przybytku karyery?..

— Gdzie ta blondynowa szelma nauczyła się tylu dobrych porównań? Rzeczywiście, czyta sobie książki bez ceremonii, a teraz chce dyplomu... Co mu się sprzykrzyło i do czego dąży? Z której strony oglądał dyplomowane legiony, że ma taką do nich ochotę?

A może on nigdy nie widział moralnej nędzy dyplomowanych, gdyż ci go do swych gabinetów nie wpuszczą, a na ulicy i w miejscach publicznych zachwycają go zapięte na taśmy palta, teki żółte z herbami lub mającymi doniosłość herbów monogramami, które dają tę pewność, że przynajmniej teka nie zginie. Cóż to za ciekawy głód łechce tego młodzika? Jak ostrożnie należy słuchać jego filozoficznych wywodów, ażeby nie zostać porwanym przez ideę szerzenia oświaty. Cały gniew wszystkich kochanych fachowców, skierowany na niego za to, że jest zdolny i może kiedyś brać duże pieniądze, jest mniejszy, niż moja obawa, że ten młodzieniec tych pieniędzy chce.

Wolę ja ci, pomyślałem, dokuczać podziwem: masz się zadusić kiedyś, to się zaduś na świeżem powietrzu. Możeś ty jest tym wyjątkowym, który jak Wokulski wydostaje się z piwnicy bez drabiny, na łokciach. Czy takiemu należy wyszukać korepetytora, jeżeli o to prosi?

Czy należy mu wskazać, jakie książki, wymagane przez gimnazyum, kupić powinien?

Na te pytania mam jedyną odpowiedź: Nie należy, robiąc jedno i drugie, krzyczeć, że się uszczęśliwiło człowieka, nie należy tworzyć landwery z tych w swoim czasie niepowołanych dzięki warunkom życia.

Tadeusz Ulanowski.

PAMIĘTNIK.

Z Plutarcha dziennikarskiego.

Naprzód myślą o bogatych ożenkach i dochodnych posadach, potem o złotych interesach i łapówkach, a ciągle o zbytku i łatwym zarobku; jakiż więc Plutarch jest dla nich najprzyjemniejszym? Taki, który im opisuje żywoty bohaterów, co szybko doszli do ogromnych majątków. Obiecaną ziemią tych wybrańców jest Ameryka. Stamtąd też głównie Plutarch dziennikarski czerpie materyał do swych budujących biografij. Z zachwytem i zazdrością opowiada swym czytelnikom o Vanderbilcie, Gouldzie, Astorze, o ich śmiałych lub podstępnych spekulacyach, o bezwstydzie, zuchwalstwie i szczęśliwych pomysłach: oblicza, ile mają dochodu co rok, codzień, co minutę, co sekundę, ile wydają na zbytki, ile płacą za klejnoty i stroje swych kobiet; umie na-

wet objaśnić szczegółowo, jakie istnieją stosunki w tych rodzinach, jakie wybuchają waśnie itd. A gdy dbały o wykształcenie swych czytelników wzniosłymi wzorami skończy opowieść o Vanderbilcie, Gouldzie, Astorze, ich żonach, córkach, zięciach, wnukach, zaczyna ponownie mówić o Vanderbilcie, Gouldzie, Astorze, ich żonach, córkach itd. a ciągnie tę jowialszczyznę przez całe lata. Nie czyni tego bezmyślnie — bynajmniej! On wie, że nic tak nie uszlachetnia człowieka, jak oglądanie zbytku — przez szybę, oddychanie jego atmosferą — z oddali, połykanie tej zazdroszczącej ślinki, która dobywa się z ust wraz z westchnieniem: czemuż okrutny los nie pozwolił mnie tarzać się w złocie! Fortuna takiego westchnienia nie wysłucha, ale ona czasem jej pasierbowi dodaje energii do schwytania w powietrzu bodaj szczypty błota, bryzgającego z pod jej rozpędzonych kół. Kto wie, ile razy czytelnik Plutarcha dziennikarskiego, nawąchawszy się podniecającego odoru milionów i miliardów, rzuci się zapamiętale na jakiegoś słabszego współzawodnika w wyścigu życiowym, powali go na ziemię, zostawiwszy na drodze, sam dobiegnie do mety! *Seed hart'* — woła wprawdzie obłąkany, ale bardzo czczony mistrz naszego wieku. O to zapewnie chodzi również naszym gazetom, wysławiającym dorobkiewiczów amerykańskich.

— „A ja państwu powiadam — pisał do nas kiedyś jeden z czytelników — że jesteście względem nich niesprawiedliwi, bo im wogóle o nic nie chodzi, dopóki *my* nie wyrzekamy.“

Może być.

Milcyades Salamiński.

P. Żuk-Skarszewski, chcąc ozdobić w *Kraju* petersburskim epopeję walki Burów z Anglikami, wskrzesił Milcyadesa, który „*Salaminą* uwieńczył termopilski pogrom.“ Wraz z tą epopeją czcigodny Milcyades powędrował do innych pism z cudzym wawrzynem na czole jako zwycięzca z pod Salaminy, a nikt dotychczas nie ulitował się nad nim i nie zastąpił mu wieńca Temistoklesowego jego własnym, zdobytym na polach Maratonu. To też zdaje nam się, że on kroczy śród zwolenników klasycyzmu z ironicznym uśmiechem na ustach i mówi: jeśli wieloletnie nadziewanie głów greczyzną nie uczy was odróżniać mnie od Temistoklesa, to już lepiej zostawcie nas w spokoju i zajmijcie się czemś innem, chociażby skracaniem szyj żyrafom, ażeby zamiast sięgać wysoko po liście palmowe szukały nizko żołędzi.

Tanie dary.

Przed kilku miesiącami podnosiliśmy sprawę zupełnego zaniku drzeworytnictwa naszego, które niedawno jeszcze kwitło tak okazale. Liczny zastęp artystów, między którymi są siły pierwszorzędne, został nagle pozbawiony zajęcia i musiał wsiąknąć w rozmaite zarobki ratunkowe, przeważnie nędzne. Ale czego nie mogła dla nich osiągnąć najwymowniejsza obrona, tego dokonywa „przekleństwo złego czynu.“ Kłamliwie i nierzetelnie niektóre nasze pisma obrazkowe durzyły naszych abonentów, że ich obdarzać będą odtworami arcydzieł zagranicznych. Jakoż rzeczywiście zaczęto skupować w Niemczech stare i zużyte klisze i odbijać z nich ilustracye. Dzięki temu artystycznemu „schmeltzowi“ widujemy coraz częściej: sławne Madonny bez nosów lub z twarzami oszpeconemi do potworności; ich *bambina* bez nóg lub włosów, Antinousów z powyrywanymi mięśniami itp., słowem nędzę, która ma wyobrażać bogactwo. Te tanie dary spekulacyi wydawniczej powinnyby już raz wywołać odpór ze strony tych, którzy są niemi obdarowywani. Naprzód bowiem są niegodne oka człowieka wykształconego, powtóre usypują coraz wyżej ogromną górę śmiecia, potrzecie obniżają w społeczeństwie smak estetyczny i dają najfałszywsze pojęcie o tych dziełach, których mają być niby wiernemi kopiami. Nasze zamiłowanie do sztuk plastycznych jest bardzo słabe, nasze znawstwo bardzo niewyrobione; jeśli do tych braków dodawać będziemy stałe wpływy ilustracyjnej tandety, to doprawdy potomność nie będzie umiała rozwiązać sobie zagadki: jak myśmy umieli pogodzić uwielbienie dla naszych mistrzów pędzla z pobłażliwością dla bohomazów pism obrazkowych?

Znowu.

Życie jest to taki mistrz, że jeśli ktoś nie słucha jego dowodzeń spokojnych i łagodnych, to ono pokona go bardzo silnemi, a nie cofnie się wtedy nawet przed świadectwem krwawem. Ile już spłynęło z piór naszych atramentu dla wykazania, że potrzebny jest nowy zakład dla obłąkanych ubogich, którzy pozostawieni na swobodzie, stają się nieraz sprawcami strasznych nieszczęść! Życie od czasu do czasu popierało tę teoryę dowodami bardzo wymownymi. Nareszcie, jak gdyby zniecierpliwione naszą niepojętnością, zaczęło w nią uderzać faktami najcięższego kalibru. W zeszłym tygodniu syn biednej kobiety, niemogącej go utrzymywać w szpitalu, wstał w nocy i porąbał siekierą dwóch współlokatorów, a byłby wymordował więcej osób, gdyby go nie ubezwładniono. Pomyślmy, co będzie dalej: sąd uzna go za waryata i odeśle do zakładu, z którego jednak chory po pewnym czasie znowu wyjdzie i znowu może narąbać ludzi.

Nam się zdaje, że względem tego rodzaju istot należy zastosować tę samą zasadę, co wogóle względem osobników niebezpiecznych dla społeczeństwa. Psycholog lub prawnik dostrzega ważną różnicę między zabójstwem spełnionem przez t. zw. człowieka poczytalnego a niepoczytalnego. Ale dla tego, kto z ich ręki zginął lub może zginąć, jest to zupełnie obojętnem. Zamordowanemu lub tym, którzy go opłakują, nie sprawia to żadnej ulgi, że zbrodni dopuścił się waryat. A wobec tej faktycznej równoważności szkód i strat, interes ogółu wymaga równie pewnej osłony od obłąkanych, jak od zwyczajnych przestępców. Ponieważ zaś nie można zobowiązać biedaka, ażeby on ponosił koszty utrzymania kogoś ze swej rodziny w szpitalu, więc ten ciężar powinno wziąć na siebie społeczeństwo. Można tę powinność odroczyć, ale nie można od niej się uwolnić.

Ciekawy dokument

Wkrótce *Prawda* zajmie się szczegółowo sprawą najmu wiejskiego i wychodźctwa ludu za granicę dla zarobków; dziś tylko jako objaw znamienny czasu, stosunków, a nadewszystko ludzi, przytoczymy ciekawy dokument w tym przedmiocie — list p. W. Wodzyńskiego do *Warsz. Dniewnika*. Brzmi on tak:

„Szanowny Panie Redaktorze!

Skutkiem corocznego wzrostu emigracyi robotników do Niemiec, trudno będzie w tym roku dokonać zbioru zbóż i innych produktów rolnych, stan też rolników i tak już nieświetny, chyli się do zupełnego upadku. Jedyna nadzieja zbawienia polega na łaskawości naszego rządu, który zawsze dbał o dobrobyt rolników. Prawda, że ludzkość nie pozwala ograniczać prawa zarobków. Ale jeśli wysokość tych zarobków, które zwiększają się prawie tylko o różnicę kursu, nie jest jedyną przyczyną emigracyi, a główne jej sprężyny tkwią w innych okolicznościach, prowadzących do zaszczepienia ludowi wiejskiemu od młodości przewrotnych idei i rozpusty, a także w chęci uchylenia się od służby wojskowej, czego dowodem jest brak rekrutów np. w roku 1899 — to zaprowadzenie pewnych ograniczeń prawa wyjazdu za granicę trzeba uważać za konieczne i zupełnie usprawiedliwione. Takim samym stosownym zakazem, który, nie obrażając zasad ludzkości, mógłby przeciwdziałać zgubnemu wpływowi kultury zagranicznej na młodzież wiejską i przez to zarazem dopomagałby rolnikom, byłby zakaz wydawania kart legitymacyjnych i paszportów niepełnoletnim robotnikom płci obojej, przy jednoczesnem zaprowadzeniu zmiany ustawy o poborze do wojska, co do uzupełnienia brakujących rekrutów, ale nie podług powiatów, lecz podług gmin.“ *W. Wodzyński.*

Wywodom tego listu *Warsz. Dniewnik* dał ze swego stanowiska właściwą odprawę, rozebrawszy ukryty w nim interes z pozorów dbałości o dobro społeczeństwa i państwa. Bez trudu i skrupułu wydobywa *Dniewnik* liche szydło z tego worka przewrotnych słów, zapewniając ich autora, że jego rady uwzględnione nie będą i że „włościanin tutejszy nie jest przecie takim włóczęgą, ażeby puszczał się na daleką wędrówkę, ot „tak sobie,“ dla rozrywki, przeciwnie, ma wielkie przywiązanie do ojczystego zagona.“ Jakkolwiek śród ziemian naszych odzywają się nieraz żądania, zagłuszające egoizmem głos rozsądku i sumienia, sądzimy jednak, że w tej sferze nawet obecnie niewielu możnaby znaleźć takich „gospodarzów społecznych,“ jak autor powyższego listu. Należą oni bowiem do nielicznego stadka... białych kruków, przed których czułym śpiewem zamykają się wszystkie uszy.

Słuszna skarga

Dnia 10 b. m. o godz. 3 po południu odbyło się ogólne zgromadzenie uczestników Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, na które z 1,500 członków rzeczywistych, zamieszkałych w Warszawie, przybyło 58. Pomimo to obrad nie wstrzymano. Na protest p. E. Niewiadomskiego komitet odpowiedział: 1) że zebrania te muszą się odbywać w godzinach popołudniowych, ponieważ wystawa trwa do zmierzchu i nie ma oświetlenia wieczornego, a nadto stosownem jest, ażeby zgromadzały się w własnem mieszkaniu Towarzystwa i 2) że do ważności obrad potrzebna jest obecność 40 członków, a *przynajmniej* $^1/_5$ ogólnej ich liczby. Pomijając dość zabawne wyjaśnienia w punkcie pierwszym, których poważnie brać nie można, łatwo było p. Niewiadomskiemu z owego „przynajmniej“ wyprowadzić logiczny wniosek, że wystarczająca obecność 40 członków, zastrzeżona w ustawie, mogła mieć sens, kiedy Towarzystwo liczyło ich 100, ale dziś, kiedy posiada 1,500, należy się trzymać „przynajmniej“ $^1/_5$. Inaczej będzie zawsze to, co jest, a co p. N. w *Gazecie Polskiej* tak określa: „W ten sposób zebranie ogólne, organ najwyższy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, powołany do kontroli komitetów, do decyzyi w sprawach najpierwszej wagi, od lat wielu przestało faktycznie istnieć. Władza zmonopolizowała się w rękach komitetu, odpowiedzialność zaś jego wobec akcyonaryuszów zeszła do zera. Dziś jesteśmy wobec faktu, że Towarzystwo istnieje tylko na papierze, w rzeczywistości zaś po za komitetem niema nikogo.“

Szkoła lalek.

Właścicielka pensyi żeńskiej, p. A. Hoene, wydała — jak donosi *Kuryer Warszawski* — raut, na którym, „śród wielu innych miłych niespodzianek,“ uczenice klas wyższych odegrały sztuczkę francuską p. t. „La reine d'une heure.“ Następuje w dalszym ciągu pochwała dwuaktowego wodewilu p. Beaumont, wybranego przez p. Hoene na publiczny popis dla pensyonarek, przyczem dowiadujemy się, że aż pięć jednogodzinnych księżniczek, zamarkowanych skrupulatnie inicyałami, niby owe panie Fik., Mik., Bzik. z zabaw karnawałowych, odznaczyć się miało... „prawdziwym talentem.“ Chóry panienek — czytamy dalej — odśpiewały aryę Saint Valentin, „nadto odtańczono menueta na zakończenie.“ Dobrze poinformowany organ p. Lewentala nie omieszkał dodać w następnym numerze, iż menuet stanowił część odegranej sztuki francuskiej...

Wzruszająca, zaiste, i prawdziwie stylowa wiadomość. W każdym wierszu brzmi tu coś swojskiego, niby jakieś oddalone echo tak miłych sercu naszemu peruk i żabotów. Owa wychowawczyni i przewodniczka dziewcząt w Warszawie

urządzająca dla nich, dziś na progu dwudziestego stulecia, hecę francuską z menuetem i aryą Saint Valentin, to „najpoczytniejsze” pismo polskie, podrygujące z radości na taki pocieszający widok; te pochwały wreszcie, oddawane „prawdziwemu talentowi” scenicznemu podlotków z piątej i szóstej klasy — wszystko to razem przepełni chyba dusze naszych rodziców i pedagogów prawdziwą radością i dumą.

Lecz nie dziwmy się, wobec podobnych wypadków, że mimo wszystko, co się u nas pisze i mówi o wychowaniu młodych pokoleń, o celach i zadaniach kobiety i innych równie wzniosłych rzeczach, falanga lalek salonowych, zdolnych jedynie do balowania w karnawale, rautowania w poście, a trwonienia przez rok okrągły krwawej pracy ojców i mężów, wzrasta u nas z rokiem każdym. I nie zabraknie ich nigdy, dokąd, zamiast rozumnie prowadzonych zakładów wychowawczych, uwzględniających istotne potrzeby społeczeństwa, będziemy mieli na naszych pensyach — maneże do tresowania takich lalek, i — dokąd znajdą się pisma, gotowe zawsze oddawać bezmyślne pochwały takiemu kierunkowi wychowania.

Wyjaśnienia.

Izba sądowa w Petersburgu niedawno rozpoznawała sprawę Mikołaja Rossetera przeciwko bar. Korfowi, w której sądy między innemi wyjaśniły, kogo uważać należy za osobę „pochodzenia polskiego.” Kwestya ta, jak wiadomo, jest ważną pod względem prawnym z powodu, że w prawodawstwie rosyjskiem istnieje szereg ograniczeń dla osób pochodzenia polskiego w sprawie kupna i dziedziczenia testamentowego majątków ziemskich w 9 gub. zachodnich. Otóż władze sądowe uznały, że przez osobę polskiego pochodzenia należy rozumieć jednostkę pochodzącą od przodka polskiej narodowości, nie zaś każdego, kto urodzi się w guberniach zachodnich, a jest wyznania katolickiego i przybrał narodowość polską. Do pojęcia o pochodzeniu polskiem nie może być przywiązywane pojęcie o przybraniu narodowości. Możliwy jest wypadek taki, że syn cudzoziemca i katolika, który osiedlił się w guberniach zachodnich i przyjął poddaństwo rosyjskie, urodzony i wychowany w tych guberniach między Polakami posiadł kulturę i język polski. Lecz stąd nie wyniku zgoła, aby on wobec swego pochodzenia nie-polskiego podlegał mocy prawa z d. 27 grudnia s. s. 1884 roku. W tej sprawie nie było sporu między stronami, że dziad powoda, który przybył z Anglii i przyjął poddaństwo rosyjskie, nie jest pochodzenia polskiego, lecz angielskiego. Dlatego też sąd w Witebsku i Izba sądowa w Petersburgu uznały, że Rossoter, jakkolwiek przybrał narodowość polską nie może być uważany za „osobę pochodzenia polskiego.” (*Gazeta Sądowa*).

Filharmonia.

Dzięki zgromadzeniu, na którem dobra wola niespodzianie wychyliła się z kieszeni uczestników, Warszawa powiła dziecię płci żeńskiej, któremu dano imię: „Filharmonia.” *Kuryery* powitały niemowlę ze spokojem i wprawą doktorów miasta, a inne pisma ostro wystąpiły przeciwko akuszerom, robiąc wyrzut jednemu z nich za to, że ubiegł drugiego, i to właśnie takiego, który Warszawę więcej kocha, dawniej się dziecięcia spodziewał, lecz któremu nie dano do chorej w najważniejszej chwili przystąpić.

Mojem zdaniem tak się nie wita nowonarodzonych. W społeczeństwie, którego nie stać na wyrzucanie przez okno nawet potworków, należy się dobrze dziecięciu przypatrzyć, a o doktorach, jeżeli się źle sprawiali, pomówić gdzieindziej, a przynajmniej kiedyindziej. Filharmonia jest towarzystwem akcyjnem, którego hasłem jest zwykle — „Rublem jesteś, w rubel się obrócisz.” Oczywiście, w tym wypadku kwestya dywidendy, ściśle zbadana przez ludzi przyzwyczajonych do płodności grosza, nie będzie odbierała snu założycielom, z których jedni zgodzili się wszelkie przyszłe zyski odsiedzieć w fotelach dożywotnich sali koncertowej, inni z gotowością już dzisiaj skapitalizowali bez pretensyj muzykalność swoją i swych potomków, wszyscy zaś dowiedli, że pragną Warszawę ozdobić, a społeczeństwu się przysłużyć.

W każdym razie nowa instytucya jest towarzystwem, na którego losy może mieć bezpośredni wpływ ten tylko, kto jej da pewną określoną kwotę, a ponieważ kapitał pół miliona rubli już został złożony, więc na przyszłość o ile nie będzie powiększony, może być mowa tylko o nabyciu akcyj któregokolwiek z uczestników, co prawo w takich razach przewiduje.

Pomimo tego nie należy przypuszczać, że w ten sposób w Warszawie utworzono coś w rodzaju „akcyjnego piwa, lub żelaza.” Przedewszystkiem sprawy Filharmonii powierzono człowiekowi w tym celu najętemu, który jest tylko wykonawcą woli zarządu i nie należąc do jego składu, korzystać może tylko z głosu doradczego. Ażeby takiego urzędnika z towarzystwa akcyjnego usunąć, nie potrzeba czekać na jego śmierć, bankructwo, lub karę główną; dość bowiem kazać mu się podać do dymisyi, o ile celom instytucyi i potrzebom ogółu dogadzać nie będzie.

O tem, niewątpliwie, więcej założyciele myśleli, niż o dywidendzie, w tym razie zresztą wątpliwej. Co do działalności artystycznej, nie została ona w ustawie raz na zawsze określoną, lecz będzie ustawicznym przedmiotem debatów zarządu. Wynajęty płatny dyrektor wykonywać musi ściśle referowane przez sekretarza instrukcye.

Po tych krótkich oględzinach, można już wyrokować, że prasa i poszczególne jednostki będą mogły zaopiekować się losem zrodzonego dziecięcia Warszawy. Zachętę do popierania instytucyi i do poddawania krytyce jej kroków znajdzie każdy w poczuciu praw obywatelskich, a trudności, z ambicyj i intryg ludzkich płynące, odstraszać mogą tylko tego, kto mieszkał dotąd na puszczy, gdzie się owies od lnu nigdy płotem kolczastym nie odgradza, gdyż tam roślin żadnych nie sieją.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Henryk Bukowski.

Rzadko się zdarza, żeby ludzie, którzy nazawsze kraj opuścili i w obce społeczeństwo wrośli, byli istotnie pożytecznymi dla macierzystego. Jeżeli nawet nie zbierają po świecie wzgardliwych kości jałmużny, nie roznoszą i nie prezentują przed cudzoziemcami łachmanów i przywar plemienia, jeżeli nawet zdobywają wpływy, stanowiska i dostatek, to najczęściej dzieje się to kosztem skarbu, który stanowi siłę żywotną i jakby oddech narodu. To też z niewymownym żalem zapisujemy wiadomość o śmierci człowieka, który stał na przeciwległym biegunie. Henryk Bukowski, zmarły dnia 11 b. m. w Sztokholmie zostawia po sobie wdzięczną i serdeczną pamięć nietylko w naszem, ale i w szwedzkiem społeczeństwie.

Urodził się na Żmudzi w roku 1838. Uniwersytet ukończył w Moskwie. Przybywszy w r. 1864 do Sztokholmu bez grosza i bez znajomości języka, nie przyjął ofiarowanych mu wsparć ani żołdów. Zabrał się do nastręczonej mu pracy w wielkim magazynie starożytności i w najgorszych warunkach, źle wynagradzany, przetrwał lat kilkanaście. Obrawszy sobie starożytnictwo, jako fach, kształcił się w niem wytrwale. Około roku 1882 założył własny sklep antykwarski. Odtąd aż do śmierci rozwijał go coraz szerzej i wszechstronniej. Ogłosił 127 katalogów wszelkiego rodzaju zbiorów, które sprzedał, więc: druków, rękopisów, malowideł, sztychów, medali, monet, broni, przedmiotów starożytnych, pamiątek itd. Katalogi te mają trwałą wartość źródeł w dziedzinie poszukiwań, szczególnie bibliograficznych. Wszystko, cokolwiek tyczyło się naszej historyi i kultury, wszelkie druki, pisma, malowidła, pamiątki, których Szwecya posiadła niemało z czasów Karola Gustawa i Karola XII, H. Bukowski wykupił, zgrupował i oddał do muzeów czy bibliotek polskich. Te dary jego mają wartość poprostu nieoszacowaną. Ale nie na tem kończyła się jego działalność, aczkolwiek trwała lat blizko czterdzieści i pochłonęła ogromne sumy, jak na człowieka, który żył z pracy własnej. Uzupełniał nietylko biblioteki polskie, lecz zasilał również instytucye szwedzkie, a nawet był współtwórcą nowych, np. *Nordiska Musem*. Jego wykształcenie fachowe, ofiarność, uczynność, a przedewszystkiem nieskazitelność charakteru, zjednały mu bezprzykładne zaufanie w całej Szwecyi. Był wzywany jako ekspert, kiedy chodziło o zbadanie i ocenę zbiorów i bibliotek w chwili działów majątkowych, zasiadał jako taksator na dorocznych licytacyach antykwarskich w Kolonii, zasięgali jego rad tacy znawcy, jak Klemming, Hildebrandt i in.

Zyski i zarobki swoje obracał przeważnie na stypendya dla młodzieży, kształcącej się za granicą. Nie czynił głośnych fundacyj, nie rozdawał jałmużny, lecz stale, pocichu uzupełniał braki zapisów istniejących. Trwało to również w ciągu długich lat. Pracowitość jego możnaby chyba porównać do pracowitości J. I. Kraszewskiego, z którym go łączył stosunek bliskiej przyjaźni. Oprócz zajęć, jakich wymagał zawód, oprócz studyów, którym się poświęcał, znajdował jeszcze czas na pisanie po nocach listów w sprawach ogólnych i cudzych. Ileż ich w życiu swom wysłał! Kiedy chodziło o gromadzenie funduszów na stypendya, kołatał na wszystkie strony. Wydawał dzieła polskie i przekłady szwedzkie z naszych wielkich poetów, bez nadziei chyba, że zyski osiągnie...

Był to w doskonałem znaczeniu tego wyrazu człowiek silny. Nigdy nie wyciągnął do nikogo ręki o pomoc. Szedł sam jeden, ciągnąc za sobą całe instytucye społeczne w kierunku dobra i użytku powszechnego. Nikogo przecież, jak się to silnym zdarza, nie rozdeptał i nie potrącił. Nie odepchnął nawet mocną swą ręką tych „rodaków,” którzy mu sprytnie podstawiali nogę. Zmarł tak samo niemal ubogi, jak wówczas, gdy przybył do Szwecyi, a zasilił w ciągu swego życia dwie kultury zasobem, jakiegoby się magnat nie powstydził. Z szacunkiem spoglądało społeczeństwo szwedzkie na tego dziwnego człowieka i z żalem go utraciło. Dla nas śmierć jego jest nieszczęściem.

Stanisław Ciechomski.

Po bardzo długich i rzeczywiście bardzo ciężkich cierpieniach zmarł ten zdolny sprawozdawca muzyczny i dobry człowiek w sile wieku męzkiego. Z *Nowin* i *Prawdy*, gdzie naprzód wystąpił, przeszedł potem do *Kuryera Warszawskiego*, w którym przez lat kilka pisywał recenzye z ruchu muzycznego. W artykułach Ciechomskiego było może za wiele optymizmu i pobłażliwości, surowość, nawet jako obowiązek, nie imała się jego umysłu, ale był to gruntowny znawca przedmiotu, serdecznie przywiązany do sztuki swojskiej. Ta właśnie gorąca miłość była przyczyną, że nieraz blaski w jego przedstawieniu wychodziły

za mocno, a cienie za słabo. Rzec nawet można, że właściwie był on nie tyle krytykiem, ile wielbicielem muzyki i jej talentów, którym nigdy nie skąpił słów uznania i zachwytu.

Takim był umysł, a serce bardzo czułe i zacne.



Prof. W. Zakrzewski: *Historya nowożytna w zarysie.* Wydanie II.

II.

Mówiąc o wyborze faktów historycznych, pozwolę sobie wskazać jedną bardzo poważną, zdaniem mojem, lukę w podręczniku: autor uwzględnia stosunki społeczne i ekonomiczne w Europie przedrewolucyjnej, lecz opowiada o nich zbyt pobieżnie, mimochodem, o tyle, o ile tego wymaga opowieść o losach państw europejskich, gdy tymczasem, według mego mniemania, stosunki ekonomiczne i społeczne należałoby ująć w jedną całość, ażeby dać wyobrażenie jednolite o tak zwanych Starych Rządach (Ancien Regime).

Teraz słów kilka o pragmatyzmie opowiadania. Jest ono często nieokreślone, mgliste i grzeszy niedopowiadaniem rzeczy bardzo ważnych: autor podaje objawy dziejowe bez zaznaczania ich treści. Wprawdzie, trudno w podręczniku połączyć jasność i ścisłość opowiadania z treściwością wykładu: jednakże i ten cel można osiągnąć, byle tylko nie przeładowywać książki faktami, byle tylko trzymać się zasady *non multa, sed multum* i przecie mówiąc o jednym objawie dziejowym, można podać treść nader bogatą. Takie opowiadanie będzie dla czytelnika daleko pożyteczniejsze, aniżeli opowiadanie, wyliczające mnóstwo faktów i faktów. Przytaczamy dowody na poparcie naszego twierdzenia. Autor mówi, że „poczynając od wieku XVI zarówno w życiu ekonomicznem jak politycznem, w umysłowem jak religijnem, stopniowo dokonywa się przeobrażenie gruntowne i zasadnicze, cały porządek świata różni się od dawniejszego, ludzkość tworzy sobie inne ideały." Ale co to za przeobrażenie, o tem z podręcznika dowiedzieć się bardzo trudno. Co się tyczy przeobrażenia ekonomicznego, to na końcu rozdziału I dowiadujemy się, że „ciągły napływ drogich kruszców z Nowego Świata sprowadza w w. XVI rewolucyę ekonomiczną i przewrót w cenach, naprzód w Hiszpanii, potem w całej Europie, wskutek niesłychanego spadku wartości pieniędzy. Nakoniec rozwój handlu, jako też współcześnie rosnący kredyt poważnych firm bankierskich, sprowadza wielkie gromadzenie kapitałów w ręku pojedynczych kupców - bankierów i wyrośnięcie w XVI w. prawdziwych potęg pieniężnych, takich jak Fuggerowie augsburscy, które, służąc swoim kredytem monarchom europejskim, umożliwiają im dopiero prowadzenie wielkich wojen za pomocą wojsk zaciężnych." Pomijamy dziwny nieco sposób wysławiania się autora, według którego wynika, że przewrót w cenach i rewolucya ekonomiczna — są to dwie rzeczy różne, ale zapytujemy, na czem polegała owa rewolucya ekonomiczna, czy tylko na gromadzeniu się kapitałów w ręku pojedynczych kupców bankierów, czy też wydała inne nader doniosłe skutki. Co to był za przewrót w cenach? Na te pytania można dać odpowiedzi pokrótce i w podręczniku. Przecie zamiast używać wyrazów ogólnikowych, bez żadnej prawie treści, warto byłoby chyba powiedzieć, że ilość monety zwiększyła się kilkanaście razy (12), że cena jej zmniejszyła się znacznie (prawie w trójnasób), że skutkiem tego towary podrożały, że podrożenie produktów spożywczych pociągnęło za sobą zubożenie niższych warstw społecznych itd. Warto byłoby chyba powiedzieć słów kilka o wytworzeniu się i o istocie systemu merkantylistycznego, o zmianach w organizacyi cechów itp. Sprawy te są tak ważne, że należało znaleźć dla nich miejsce nawet w podręczniku bez powiększenia jego objętości i dla dopięcia tego celu można było opuścić wiele faktów z historyi polityki zewnętrznej i wojen.

Autor powiada, że ludzkość w okresie dziejów nowożytnych tworzy sobie nowe ideały, ale o treści tych ideałów nie powiadamia czytelnika. Ktoś może na to mi odpowiedzieć, że treść ich jest treścią samego podręcznika. Takie odparcie naszego zarzutu będzie tylko poniekąd słuszne. Jasne i dobitne określenie pewnej zawartości — jest rzeczą zawsze pożądaną we wszystkich książkach, tem bardziej w podręcznikach i to właśnie nie zawsze dostrzegamy w książce prof. Zakrzewskiego. Najgorzej zaś dzieje się z odrodzeniem i humanizmem. Na usprawiedliwienie autora możemy chyba tylko zaznaczyć, że u naszych historyków o tym wielkiej wagi ruchu umysłowym panują wyobrażenia bardzo nieokreślone. Autor używa wyrazów Odrodzenie i humanizm jednocześnie (np. str. 2... ale równocześnie krzewi się wszędzie i rozpościera Odrodzenie i humanizm), z czego wnosić należy, że Odrodzenie odróżnia od humanizmu, ale, niestety, nie objaśnia, jaki zachodzi pomiędzy niemi stosunek. Zresztą — co gorsza — trudno odgadnąć, jak autor pojmuje istotę Odrodzenia i humanizmu. W „Historyi wieków średnich" (str. 200, wyd. 2) znajdujemy takie określenie Odrodzenia: „Nowe te prądy, które oznaczamy nazwą Odrodzenia czyli renesansu, zaznaczały się zwrotem ku starożytności klasycznej, jej uczuciom, pojęciom i zabytkom." W tem określeniu dziwnie uderza wyraz „uczucia" starożytności klasycznej. Czyż ta starożytność posiadała jakieś inne uczucia, aniżeli ludzkość średniowieczna, inaczej kochała, nienawidziła i pożądała? Ale mniejsza o pewną niezgrabność wysłowienia; samo określenie jest w gruncie fałszywe. Humanizm był prądem umysłowym w życiu ludzkości, samodzielnym co do swej istoty, nie zaś naśladowniczym. Naśladownictwo było tylko osłoną dla treści umysłowej zupełnie oryginalnej: indywidualizm i świeckość—oto cechy główne humanizmu w przeciwieństwie do ducha kościelnego, pochłaniającego w sobie jednostkę ludzką całkowicie, ducha kościelnego, który panował nad umysłowością europejską w wiekach średnich. Indywidualizmu nie ceniono i w świecie starożytnym; dlatego też nowsi badacze uznają humanizm za ruch umysłowy samodzielny. Ale takie pojmowanie humanizmu było dla autora wobec jego zasad niemożliwe. Autor musiał nawet odróżnić w humanizmie dwa kierunki: pogański i chrześciański. Wszelako co tu ma do czynienia pogaństwo, a zwłaszcza t. zw. przez autora praktyczne pogaństwo (p. II część, str. 203 i III str. 22), tego zrozumieć niepodobna; chyba wyrazowi „pogaństwo" będziemy nadawali jakieś szczególniejsze znaczenie. Humaniści nie wierzyli z pewnością w bogów olimpijskich, ani też nie składali im ofiar. Cóż wtedy ma oznaczać jakieś praktyczne pogaństwo? Nie obojętność przecie dla religii, gdyż poganie czczą zwykle bogów swoich nader gorliwie. A może używanie rozkoszy światowych i uciech zmysłowych? Ależ to nie stanowi cech pogaństwa.

Moglibyśmy przytoczyć niejeden jeszcze przykład niejasności i chwiejności w pojmowaniu przez autora objawów dziejowych, gdybyśmy mieli więcej miejsca.

Teraz słów kilka o błędach historycznych. Te są bardzo nieliczne i nic dziwnego, bo pisze książkę taki znakomity znawca dziejów, jak prof. Z.; jednakże i tych kilka dostrzegliśmy. Najbardziej zaś uderzył nas błąd następujący, którego powstania nie mogliśmy sobie żadną miarą wytłomaczyć. Zdaniem autora, racyonalizm filozoficzny zrodził się w Anglii w XVII w. i właściwym jego ojcem był filozof angielski, Jan Locke (str. 236). Tymczasem wiadomo powszechnie, że kierunek racyonalistyczny stworzył filozof francuski, Descartes, Locke zaś poszedł dalej drogą, wskazaną przez Fr. Bacona, więc trzymał się metody empirycznej. Wobec tego mogło zrodzić się u nas przypuszczenie, że autor rozumiał przez racyonalizm nie pewną doktrynę filozoficzną, lecz coś innego. Posądziliśmy z początku, że autor utożsamia racyonalizm z deizmem, lecz nie, bo rozróżnia filozofów angielskich, opierających się na nauce Locke'a i t. zw. deistów (str. 237), musieliśmy przeto zaniechać tego domysłu i, niestety, pozostać w nieświadomości, co ma znaczyć racyonalizm. Dla braku miejsca nie możemy zatrzymywać się nad wyrażeniami, nieodznaczającemi się ścisłością, wszelako musimy zaznaczyć, że pierwsze teorye socyalistyczne ukazały się nie za monarchii lipcowej, jak to twierdzi prof. Zakrzewski (str. 328), lecz daleko wcześniej: Fourier (nie zaś Fournier, jak wydrukowano) napisał pierwsze swoje dzieło „Theorie des quatre mouvements" już w r. 1808, a Saint-Simon swoją „Reorganisation" w r. 1814.

Nareszcie parę słów o stylu autora: mowę jego można nazwać czystą, poprawną, jednakże nie jest ona bez skazy. Należy chyba unikać takich zwrotów, jak np. „Leon X... kierownikiem wszystkich prac artystycznych *zrobił* Rafaela" (str. 18), „...humaniści starali się ośmieszyć teologów scholastycznych, *zszeregowawszy się w jeden obóz przy sposobności sporów Reuchlina z dominikanami kolońskimi*" (str. 22). „Hutten począł go (Lutra) *pchać* i podniecać" (25) itp.

Na zakończenie naszego artykułu pozwolimy sobie uczynić jedną uwagę: książkę prof. Z. można polecić samoukowi (ma się rozumieć, wyższego stopnia) do czytania, tylko pod warunkiem, że będzie jednocześnie czytał np. Historyę nowożytną T. Korzona (jaka wielka szkoda, że dzieło to dotychczas pozostaje nieukończone!): wtedy dopiero prawda ukaże się w świetle należytem.

Witold Nowodworski.

Dr. Stanisław Grabski: *Der polnische Nationalökonom Graf Friedrich Skarbek.* (Odbitka z *Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung* VIII str. 504—529). — Aleksander Mogilnicki: *Sądy administracyjne.* Warszawa, 1900. Księgarnia E. Wende i S-ka, str. 193.

Doskonale przez Böhm - Bawerk'a, Inama - Sternegg'a i Plenera redagowany kwartalnik wiedeński przynosi w ostatnim zeszycie rozprawkę pana St. Grabskiego, roztrząsającą działalność naukową Fryderyka Skarbka. „Literatura ekonomiczna polska, mówi autor, jest zagranicą zupełnie nieznana; co najwyżej w niektórych podręcznikach podawane są od czasu do czasu tytuły polskich książek; czytelnik dowiaduje się tedy tylko, że ktoś, noszący trudne do wymówienia nazwisko napisał w pewnym roku pewne dzieło, mające związek z ekonomiką." Temu brakowi stara się autor zaradzić i zasługuje dzięki temu na rzetelne uznanie. Skarbek zajął jego uwagę nietylko dlatego, że był pierwszym propagatorem Smithianizmu *w Polsce,* ale i dlatego, że dzieła jego stanowią ważny przyczynek metodologiczny do poznania podstaw teoretycznych w doktrynie Smitha. Już wtedy bowiem, kiedy na Zachodzie zagadnie-

nie metodologii badań ekonomicznych prawie że wcale jeszcze nie istniało, nasz ekonomista, skromny pracownik w winnicy Pańskiej — który jednocześnie był i historykiem i filantropem, malarzem i poetą, przeżywał różne kataklizmy dziejowe — nad temi właśnie zagadnieniami zastanawia się bardzo obszernie i poważnie w *Theorie des richesses sociales* (Paryż 1829, 2 tomy). Grabski podkreśla ze szczególną siłą ten fakt, że teorya Skarbka zawiera niemal wszystkie zasady, stanowiące kapitał żelazny szkoły historycznej: zwraca on mianowicie szczególną uwagę na zależność zjawisk ekonomicznych od czasu i miejsca, uważa te zjawiska nie jako stałą własność rzeczy, ale jako „produkty życia społecznego"; „ekonomia polityczna jest tylko gałęzią umiejętności społecznych"; „społeczeństwo i gospodarstwo nie stanowią tylko sumy izolowanych jednostek, ale raczej pewną po nad niemi znajdującą się organizacyę, której istota i cel sprowadza się do wzajemnego współdziałania i czynienia zadosyć wspólnym potrzebom," „podstawą zaś tego współdziałania jest sprawiedliwość"; bodźcem działalności ekonomicznej jednostki nie jest egoizm, jeno dążenie do fizycznej i moralnej doskonałości..." mimo to wszystko pozostaje S. wyznawcą Smitha (str. 515). I, co więcej, nie byle jakim wyznawcą. Boć—uzasadnia to Grabski — jeżeli on nawet często Smitha nie rozumiał, pojmował go zawsze lepiej, był mu bliższym od francuskich i angielskich uczniów wielkiego ekonomisty. Doskonale udał się autorowi wykład związku, jaki istniał pomiędzy rzeczywistością ekonomiczną naszą na początku stulecia a polityką ekonomiczną, której bronił Skarbek, a także porównanie Skarbka z ekonomistą niemieckim, Listem. Pan Grabski przedsięwziął bardzo ważne, ale i niewdzięczne zadanie. Wczytywanie się w starych ekonomistów naszych i zaznajamianie z nimi zachodnio - europejskich uczonych zasługuje na bezwzględne uznanie tembardziej, że rezultaty takiej pracy mają najczęściej tylko antykwarskie znaczenie i leżą daleko po za granicami dzisiejszej nauki. Ale, że u nas nikt nie próbował zebrać owych rozstrzelonych w czasie i przestrzeni zakresów naukowych ekonomistów naszych, owych rozproszonych po czasopismach i, zaginionych broszurach pomysłów — niekiedy doskonałych i mądrych, niekiedy naiwnych i fantastycznych, co już oddawna uczyniono w innych krajach, tedy, zamykając tę notatkę, kończymy życzeniem, aby autor o takiej pracy pomyśleć raczył. Mrówczej i benedyktyńskiej potrzeba do tego cierpliwości, bo każdemu z tych uczonych osobną trzeba będzie biograficzną i bibliograficzną poświęcić monografię. Ale chyba o taki szkopuł nie rozbije się energia autora.

*   *

Rozprawa młodego prawnika A. Mogilnickiego, drukowana poprzednio (1898 r.) w *Gazecie Sądowej*, zaleca się jasnością wykładu, dokładnością wskazówek, czerpanych z pierwszego źródła. Obejmuje następujące rozdziały: Sądownictwo administracyjne w teoryi; Sądownictwo administracyjne we Francyi, Niemczech, Austryi, Anglii, Włoszech i innych krajach pomniejszych. Rozdział VIII i IX poświęcił autor rozpatrzeniu podstaw ustroju sądownictwa administracyjnego w Cesarstwie i Królestwie Polskiem (148—172). Jeśli cała książeczka nadaje się z natury rzeczy do studyów specyalnie prawniczych, to ostatnie rozdziały zainteresować winny każdego czytelnika inteligentnego, tem bardziej, że autor stara się być możliwie popularnym. Co do zasadniczego poglądu autora pozwolimy sobie zacytować jego własne słowa: „Sprawiedliwość nie może służyć interesom partyi, pochodzenia, bogactwa: jej śnieżna szata powinna być czystą i nieskalaną, a sąd, jako jej wcielenie na ziemi — niezależnym w całem znaczeniu tego wyrazu, niezależnym nietylko od władzy wyższej, ale i od wszelkich wpływów ubocznych, zewnętrznych i wewnętrznych, pośrednich i bezpośrednich. Tylko wtedy sądownictwo dobrze odegra przeznaczoną sobie rolę, tylko wtedy ręka Temidy obejmie nieograniczoną władzę" (180—1).

—*sp.*

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

III.

Zdzisław Dębicki: *Noce bezsenne*. Lwów, 1899.

Niekiedy dobrze jest oddać się takiemu rozmarzeniu — mówiliśmy sobie, zamykając tomik Arnsztajnowej. Podobny czar, tylko w nierównie silniejszym stopniu, ogarnia nas, gdy wraz z Zdz. Dębickim przyglądać się będziemy majestatycznemu pochodowi Nocy, która „przez mazowiecką równinę senną idzie srebrna, rzeźka, cicha, w dal idzie jasną i promienną, balsamem śpiących łąk oddycha. Świerszczów jej wdzięczna gra kapela, z traw na nią derkacz głośno woła, a kwitnącego morze ziela chyli się przed nią dookoła." Moc światła, całe morze światła cichego, spokojnego, srebrnego. Czy go nie widzicie, czy go nie czujecie, czy nie obejmuje ono was wokoło, czy was wskroś nie przenika? Ciało traci swój ciężar, unosimy się od ziemi wraz z wonią ziół; z pieśnią pól, i mkniemy lekko gdzieś „w dal jasną i promienną." Dębicki należy do szeregu tych księżycowych poetów, wśród których znajdują się i starzy romantycy, jak K. Gliński, i moderniści, jak L. Szczepański. Obrazy, które ci poeci stwarzają, nastroje, którym się poddają, są tak pokrewne, że z pewną trudnością tylko można ująć wyczuwane przecież między nimi różnice indywidualne. Pomiędzy usposobieniem przynajmniej F. Arnsztajnowej i Zdz. Dębickiego linię graniczną poprowadzić można. Pierwsza lubi nam ukazywać rzeczywistość z pewnego oddalenia, jakby przez odwrócone szkło lunety, jakby na tle białego papieru w kamer-obskurze. Wszystko tu jest: każdy rys, każdy szczegół, każda drobnostka, a jednak tak jakoś to dziwnie, tak niezwykle wygląda. Ale patrzymy, bądź co bądź, na rzeczywistość, acz przeobrażoną i wypięknioną w tej kamer-obskurze, którą jest dusza przypominająca. Dębicki nie potrzebuje się odwracać od rzeczy realnych lub oddalać ich od siebie — one dlań nie istnieją; nie przypomina sobie wydarzeń czy obrazów, on je stwarza, on je wyprzędzie z blasków i ciszy, ustawi przed nami olbrzymie zwierciadło bez ram, w którem się odbiją niezmierzone przestrzenie świetliste. Są i u Dębickiego wprawdzie wspomnienia, lecz nie świata przedmiotowego, tylko znowuż szyby kryształowej. „Oto w taki, jak dzisiaj, wieczór cichy, księżyc na niebie świecił srebrnobiały, nad wodą wierzby płaczące się chwiały, wiatr śpiących lilij całował kielichy..." Czujemy, jak łatwo krajobraz taki przeistoczy się w wymarzony. „Przestwory mórz bez granic, po których wiatr niesie, jak zaświatowe widma, skłębione opary, dźwięczące pieśnią ciszy przestrzenie bez miary, mistyczne, senne łąki, tonące w bezkresie... Na nich w miesięcznym blasku srebrniejące zielska, białe brzozy, rozwiane nakształt pióropuszy, gdzieniegdzie rozpłakana, cicha wierzba sielska, co na wody strumienia białym puchem pruszy, a nad tym jakaś dziwna tęsknota anielska — oto melancholijny nastrój mojej duszy." Poezya Dębickiego jest nieustającą wizyą. Jest to zaczarowane królestwo z bajki, objęte cudownym snem. Wszystko tam śpi i wszystko śni. Zasnęło światło i świeci nieruchomym blaskiem, zamarły dźwięki i zamieniły się w subtelne wonie; wierzchołki drzew, kłosy niwy pozostały w swem pochyleniu, jak je zaskoczył dziwny urok. A z nad sennej równiny w nieskończoność rozpostartej i zalanej światłem miesięcznem podnosi się mleczny szlak, po którym szybuje tęsknica, po którym się idzie w bezkresy przestrzenne, w jakiś świat nieziemskiego milczenia, gdzie na tronie królewska cisza siada. „Morze się falą miękką wełni, a nad nią księżyc świeci w pełni, gościniec marszczące srebrno-złoty dla moich dumań i tęsknoty. I po gościńcu tym odchodzi w świetlistą oddal, co w powodzi mgły błękitnawej gdzieś majaczy, mój duch samotny i tułaczy."

Widzimy tedy, że poezya Dębickiego, utkana z połysków i cieni i niewyraźnych szmerów tęskniącego serca, mało posiada kolorytu rzeczywistości. Że tak jest, wynika to z pewnością z głębszych pokładów organizacyi duchowej autora; ta żałoba atoli, która jest przewodniczką poety po bezbrzeżnych oceanach królestwa jasności i spokoju, wyrasta z gruntu realnego i — o ile wolno syntezować odbierane z wynurzeń poetyckich wrażenia — jest złagodzonym objawem ostrego bólu, wywołanego poczuciem samotności. „I w okrąg nie mam nic, ni kochających serc, ni ukochanych lic, nic, nic, nic." Ból podobny targa człowiekiem, gdy się wie, co to są kochające serca i ukochane lica, gdy one odeszły od nas daleko, i oto czujemy naraz pustkę wokoło, taką wielką pustkę. Są usposobienia, które będą bronić się przed nią zapomnieniem o niej, rzuceniem się w wir czynnych pożądań i nadziei, walką o słońca, gorejące gdzieś na dalekich niebiosach, lecz przesłonięte mgłą i zawieją. Są także usposobienia inne, tak miękkie i chwiejne, że lęk je chwyta w swe szpony na widok duszy krożącej samotnie i zgubionej wśród szerokich rozłogów, „nakrytych posową ciężkich chmur jesiennych. Duszę taką, jeśli ją skrzydłem już swem dotknęło zwątpienie — duszę taką ogarnia trwoga, że jak przestwór głęboki i daleki, nie istnieje nic, jeno pustka i jeno to sklepienie ołowiane, i niema nigdzie świateł, które zdobywać, ku którym dążyć trzeba. „Bez Boga duch się wlecze mój po szarej, smutnej ziemi, jak zabłąkany w drodze ptak z skrzydłami złamanemi. A nad nim szumi zwątpień sęp, lecący skądś w pomroce i rozpaczliwą swoją pieśń skrzydłami wciąż łopoce... I rozpaczliwy wznosi krzyk okropnej beznadziei, że przed nim żadnych niema słońc, wstających z mgieł rozwiei..."

Chociaż ból i smutek, objawiający się w poezyi p. Dębickiego, zarówno jak i owa trwoga, kwiat tego drzewa, zbyt mało mają w sobie pierwiastków społecznych, w ich wyrazie odzywają się takie rzewne, szczere, prawdziwe nuty, że w duszy naszej powstaje odruch współczucia. Budzą je także te ponure, spiżowe dźwięki, które niekiedy spotykamy u poety, a spotykamy wskutek ekstatycznego jego przejęcia się pieśnią Kasprowicza — ale to nic nie szkodzi, nie zgoła. To przejęcie się sprawia, że niewątpliwe, lubo bezwiedne, hyperbole nie drażnią nas. A jednak... należy życzyć, aby p. Dębicki wyszedł już z zaklętego koła swych marzeń. Powiedziałem przed chwilą, że poezya jego zawiera zbyt mało pierwiastków społecznych. Nie biorę tego w znaczeniu doktrynerskiem. Nie chodzi mi o żadną tendencyę, o publicystykę w tej lub innej formie. Ale trzeba koniecznie,

aby dusza poety rozszerzała się, aby ująć mogła w sobie cząstkę ducha powszechnego. Niech poezya jego będzie miękką i rozmarzoną, i księżycową, jeśli inaczej być nie może, ale niech będzie tłem tylko, tylko oknem na jakieś widoki przestronniejsze, niż dotychczas. Zawrót głowy nie może i nie powinien być stanem trwałym. Bo wreszcie poezya tu skrzepnie nawet stylowo. Bo wreszcie zbyt jednostajnemi wydadzą się wszystkie te melodye, świetliste drogi, wodne roztocze, osrebrzone łany itd. Duch poety wśród nich się obłąka, aż wreszcie znużony wędrówką nieustającą, ubezwładniony czarem nieprzerwanym, wyczerpie bezskutecznie swe siły, do ziemi przypadnie. Sen, choćby czarodziejski, zbyt przedłużony, może stać się śmiercią rzeczywistą, gdyż warunkiem życia jest ruch w tej czy innej postaci... „*Guarda e passa.* Patrz wokoło i obojętnie mijaj tłum, a wchodząc w duszy własnej tum, do góry podnieś dumne czoło.“ Niech i tak będzie. Tylko niechże na ołtarzu w świątyni świętej ogień goreje. A pamiętajmy, że choć poeta pochyla się „nad rozhukanem morzem ducha... i grzmienia fali dzikiej słucha,“ to przecież nurty własnej duszy jego żadnych objawień w głębinach swych jeszcze nie ukazały; że przeciwnie jego myśli płyną „przez zasępione dumań wody i *swoich skrzydeł nie rozwiną, ażeby z wichrem pójść w zawody*, ale *wciąż pryją szlak*, jak czarny łabędź, smutku ptak.“

Gdzieś p. Dębicki, chcąc się otrząsnąć z ubezwładniającej go melancholii, woła: „dłoni przyjaznej, uścisku lub słowa.“ Pragnąłbym bardzo, aby nawet w zarzutach i obawie o przyszłą jego twórczość poeta dojrzał taki silny, szczery, przyjazny uścisk.

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Z estrady.

Ponieważ w rubryce niniejszej staraliśmy się zawsze notować bieżące dzieje odnośnej gałęzi literatury, a sztuką aktorską zajmowaliśmy się tylko ubocznie, przeto mamy prawo i obowiązek śledzenia również tego, co z estrady podają publiczności naszej przygodni i zawodowi deklamatorzy. Przy tej sposobności uwzględnimy również ubocznie samą sztukę deklamacyi i wybitniejszych jej przedstawicieli. Nie czyniliśmy tego dotąd, bo na traktowanie akademickie przedmiotu brakło nam miejsca, a na traktowanie propagatorskie — rezonansu w duszach słuchaczy.

Rzućmy okiem wstecz. Historya sceny i estrady pod względem literackim splata się w charakterystyczny wianuszek, który warto włożyć na głowę uczęszczającemu na widowiska społeczeństwu, aby się przejrzało w zwierciadle i przekonało, jak dziwnie mu w onym wianuszku do twarzy. Przed tylu a tylu laty mieliśmy w teatrze Królikowskiego, Żółkowskiego itd., a z nimi i przez nich dzieła Shakespeare'a, Fredry. Równocześnie rozlegał się z estrady „Farys“ Balińskiego, „Marsz pogrzebowy“ i „Hagar na puszczy“ Ujejskiego itd. itd. Gdy stare orły, jak np. Królikowski, stracily oddech po tylu podsłonecznych wzlotach, a ich sława spędzała sen z powiek pigmejskich następców, gdy podniosłość i natchnienie ustąpiły miejsca chłodnej bombastyce i melodramatycznej pozie, ocknęły się w publiczności gorsze instynkty i powiedziano sobie z niezmiernie ciekawą szczerością: dość sztucznego patosu, nie jesteśmy zdolni do uczuć prometejskich, nie bądźmy tak tragiczni; sztuka nie umie nas „porywać,“ więc niech bodaj „pieści...“ A sztuka, jak stręczycielka, odgadła w lot, o co chodzi i nie wymówiła się od usług. Na scenie zapanował ów rodzaj „lekki,“ komedya salonowa, zręczna jak tancerka, która za kilka lat postarzeje się i nikt na nią wtedy nie spojrzy, ale dziś bawi i podrażnia. Na estradzie wyląg1 się literacki flirt, szczebiot wierszyków. „Budzę panią! — W kolorze? — Różowym! — Ach, mój Boże, kocham aż nadto może!“ Albo: „Mam się żenić.“ Albo „Milusińscy.“ Ach, ci Milusińscy! Lecz umysł nie zatrzymuje się łatwo na pochyłości salonowej zmysłowości, a często eleganckiej pornografii. Zrodził się estradowy monolog, ba! powstała odrazu cała literatura monologowa. Jak w cyrku pomiędzy produkcyami z zakresu jazdy wyższej zjawia się klown, aby błazeństwami rozruszać znużoną publiczność, tak na koncertach przez szparę programową pomiędzy sonatą na orkiestrę i kwartetem smyczkowym wciskał się monologista i bredził trzy po trzy przez jakie pół godziny, śród wybuchów śmiechu i burzy oklasków. Nie będziemy nawet wymieniali autorów tych monologów; utwory ich, jak świece stearynowe, spalały się na jednym wieczorze, a to, co po nich zostało w bibliografii, podobne zaiste do niedopalonego knota, jeżeli nam wolno snuć porównanie dalej.

Nagle jakoś i to się sprzykrzyło, bo było istotnie zbyt płaskie i głupie, aby się nareszcie sprzykrzyć nie miało. Tu i owdzie na szarzyźnie dusz poczęły zakwitać róże poezyi. Powstało jakieś inne pokolenie, spragnione czystszych oddechów, więc może samo także czystsze, tęskniące za poezyą, więc tem samem poetyczniejsze. I w tejże chwili poezya zjawiła się. Bo z owem zjawianiem się jest tak. Ludzie mówią: wiosna będzie, bo jaskółki przyleciały! Nie, wiosna już jest, bo zwabiła jaskółki. Krytycy piszą: biegną poeci, będzie wiosna w duszach! Nie, wiosna w duszach nastała już, bo zwabiła poetów i śpiewają tym duszom!

Coś podobnego zaczyna wiać w naszym światku. W teatrach kiełkuje sztuka i wypuszcza literackie pędy, a z estrady rozbrzmiewa poezya i to, o bogi, w wielkim stylu! W ciągu jednego, jedynego tygodnia, usłyszeliśmy z koncertowych estrad warszawskich dwa ustępy z „Pana Tadeusza,“ jeden z „Maryi“ Malczewskiego, „Romantyczność“ Mickiewicza i „Precz z moich oczu“ — a nie byliśmy w stanie usłyszeć wszystkiego. Podnosi głowę również nowsza literatura. Stamtąd dobiega nas Konopnickiej „Jakże mam cię brać dziewczyno,“ skądinąd znowu Tetmajera „Na anioł Pański biją dzwony“ lub „Tryolet“ Rydla. Czy to ta sama publiczność, która słuchała z entuzyazmem „Babki Perlmutter,“ albo „Serca i wątróbki“? A może ta sama, tylko wyrosła jak lilia nad błotniste poziomy i myje kielich w światłości słonecznej?

Na estradach pojawił się cały szereg deklamatorów i deklamatorek. Należałoby może nad każdym z nich zastanowić się. Nie czynimy tego. Zatrzymujemy wzrok tymczasem na dwóch tylko postaciach. Jedną z nich jest pani Siemaszkowa, drugą panna Arkawinówna. Pierwsza przybyła do Warszawy z gotowem nazwiskiem artystycznem, druga urabia je sobie dopiero śród nas. Może więc zestawienie artystki *en vogue* z tą, która dopiero żagle rozwija, będzie dla pierwszej zbyt korzystnem, ale dla drugiej niesprawiedliwem? Bynajmniej. Jeżeli wolno nam powrócić do skreślonego wyżej obrazu, to powiemy o pierwszej, o tej już znanej, już sławnej: będzie wiosna, bo jaskółka zleciała! A o drugiej: wiosna już jest, bo jaskółkę zwabiła! Zarówno jedna, jak i druga, jest już skończoną artystką, tylko o pierwszej świat nasz już wie, już ją zna, ceni i rozrywa, o drugiej zaś zaczyna dopiero słyszeć. Nam natomiast nie chodzi o tę wartość artystyczną względną, mącącą blaskami sławy nasze rozeznanie, ale o oznaczenie wartości bezwzględnej. Dlatego też nie lękamy się mówić o Arkawinównie obok Siemaszkowej, a Siemaszkowej w tem zestawieniu nie zblaknie ani jeden rozbłysk glory, świecącej nad głową.

Po kramiku poznać kupca, a po repertuarze artystę. Co przynosi nam Siemaszkowa? Poezyę. Dlaczego? Bo ją ma w duszy. Gdy wygłasza utwór, wtedy twarz jej, oczy, cała postać, więc ona cała staje się wyrazem tego utworu. Deklamacya jej jest nawskroś nastrojowa. Ale Siemaszkowa jest także aktorką; więc nietylko deklamuje, ale gra zarazem. Owej gry nie pojmujemy w znaczeniu scenicznem, niema więc mowy o jakimkolwiek ruchu postaci; ale gra twarz, gra głos; tak deklamuje ta, która „mieszka“ na scenie, a wybiera się „z wizytą“ na estradę. Nie są to ani wady, ani zalety, tylko cechy. Inaczej rzecz ma się z Arkawinówną. Ta czuje się na estradzie jako w żywiole wyłącznie swoim. Zmiana wyrazu twarzy ma dla niej inne znaczenie. Używa go jak śpiewak, który chcąc wyrazić głosem pewne uczucie, pierwej przybiera odpowiedni wyraz twarzy. Za pomocą tego środka nietylko nastraja siebie, ale i przysposabia publiczność.

Obie artystki cechuje niepowszednia inteligencya. Każda z nich umie „wymyśleć“ deklamacyę do danego utworu. Deklamacya w ten sposób zrozumiana jest twórczą, jest rodzajem ilustracyi. Takie artystki szanujmy, bo w ich ustach poezya osiąga najwyższe napięcie blasku; a sztuka to trudna, lecz za to jedna z najszlachetniejszych.

Winniśmy się wyspowiadać jeszcze z jednego wrażenia. Powiedzieliśmy wyżej, że obie artystki zaliczamy do skończonych; użyliśmy tego wyrażenia w znaczeniu powszednim. Czuć jednak, że przed jedną i drugą majaczeje jeszcze przyszłość, ku której zdążają i że kiedyś osiągną doskonałość, której obecnie ani przewidzieć, ani bliżej oznaczyć nie jesteśmy w stanie. Ale jaka to rozkosz patrzeć, że ktoś w naszych oczach tak idzie naprzód i naprzód!

Zoryentujmy się. Na estradzie natchnienie i poezya, publiczność przejęta, wzruszona; na policach antykwarskich żółkną nierozsprzedane zbiory „monologów“... Eh, chyba już nie wrócimy do nich!

Wiosna, wiosna! *A. N.*

ODCZYTY.

W. Szumański: *O pojedynku.*

Dnia 13 i 15 marca liczne grono osób, starannie unikających pojedynków, wysłuchało dwóch części odczytu Szumańskiego.

Obok znajomości prawa obowiązującego, pięknej deklamacyi i szczerego zapału, prelegent wykazał pewne braki zmysłu społecznego.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę ważne jego wykroczenie przeciwko technice wypowiadanych prawd. Prelegent zaznaczył publicznie, że pojedynek traktować będzie tylko ze stanowiska wierzącego chrześcianina i to upoważniło go do zrobienia następujących dwóch uwag nawiasowych: „Chociaż się to komuś może wydać dziwnem“ i „chociaż nasi ateusze mogą się w pewnych miejscach śmiać ironicznie.“

Tak się ogółu nie moralizuje. Dzieciom albo się wcale brylantów nie daje, albo, dając, należy je bez żadnych zastrzeżeń i omówień poinformować, że to są brylanty bez względu na czyjąśkolwiek w tej kwestyi opinię. Dwa przytoczone dodatki prelegenta nastręczają więcej wątpliwości, niż zupełne przemilczenie strony dogmatycznej. Wreszcie po co zmuszać po-

ważne audytoryum do wykręcania sobie karków w poszukiwaniach po sali tych ateuszów, którzy itd.?

Następnie, prelegent nie umie smucić się ani cieszyć społecznie. Dzisiejsze pojedynki, polegające przeważnie i coraz częściej na dziurawieniu powietrza, napełniają prelegenta zgrozą, pod której wpływem biada on nad smutnym losem rodzin, z których łona pojedynki wyrywają „najlepsze, bo przekładające honor nad życie jednostki.“ Tych „najlepszych jednostek“ poprostu nie zrozumiałem, nie mówiąc o tem, że tam, gdzie prelegent płacze, ja się cieszę z całego serca.

Przecież wszystkie prawie dzisiejsze pojedynki, coraz częstsze sądy honorowe, nie mówiąc o kojących protokółach bez huku, przekładanie szpad i rapierów nad pistolety dowodzą wyraźnie, że pojedynek wszedł już na dziecinne pokojowe szyny przeżytku, że niezadługo będzie zdobił mazura, jako jedna z jego figur, że rozśmieszać będzie dziatwę na kinderbalach.

O ile radość moja jest przedwczesną, o tyle rozpacz prelegenta — spóźnioną. Przytoczył on francuskie zdania Wiktora Hugo, Boileau'a i de Maistre'a o pojedynku, który nie stanowił specyalności tych myślicieli, ale nie postarał się przypomnieć refleksyj przedpojedynkowych doktora Kotowskiego z „Emancypantek“ Prusa, lub adwokata Maszki z „Rodziny Połanieckich.“ Wielka szkoda. Zrozumianoby lepiej i uśmianoby się.

Nareszcie prelegent rozmaicie traktuje kobiety, zależnie od tego, czy przemawia jako mężczyzna, czy też jako wierna małżonka. Jako mężczyzna, dowcipnie skarcił nas za „rycerską tyranię,“ w której utrzymujemy kobiety, ale, jako czuła małżonka, odezwał się do ubóstwianego męża w ten sposób:

„Mężu, nie chodź się bić, na to żeś mi młodość zawiązał, żebym teraz osieroconą została.“ Im dłużej tak będą przemawiały żony, o tyle później ich mężom przyjdą do głowy zreformowane pieszczoty i po dawnemu czubić się będą o swe niewolnice.

O prawdę.

W sprawie „Straconych popisów.“

W nr. 10 *Prawdy*, w „Pamiętniku,“ poruszono sprawę „straconych popisów,“ polegającą na tem, że Polacy, pracując za granicą, zapominają o stosunkach krajowych, poświęcając czas badaniom nad stosunkami obcych krajów, wreszcie wydają swe prace w obcych językach. Rzeczywiście coraz częściej się to zdarza.

Nie mam tutaj zamiaru zastanawiać się nad powodami tego smutnego objawu. Zupełnie zresztą podzielam zdanie autora „Straconych popisów“; chciałem jedynie zwrócić uwagę na to, że nie każda praca, wydana przez Polaka, traktująca o obcych stosunkach w obcym języku, jest „straconym popisem.“ Tak się zresztą rzecz ma z pracą p. Kudelki, którą autor „Straconych popisów“ jako przykład przytacza.

Znaczna część młodzieży naszej kształci się za granicą, wielu z pomiędzy niej, stosując się do warunków, w jakich żyje, pragnie zdawać i zdaje rozmaitego rodzaju egzaminy; przy zdawaniu na stopień doktorski wymaganą jest praca napisana, następnie drukowana w języku wykładowym. Oto przyczyna, dla której w wielu wypadkach Polacy wydają swe prace w języku obcym. Czyż nazwać to można „straconym popisem,“ chyba właściwiej — złem, kształcenie się na uniwersytetach za granicą.

Dalej co do tematu. Oczywiście obowiązkiem naszym jest pracować zawsze i wszędzie dla kraju, a w każdym razie pracując na obczyźnie nad obcym tematem, myśleć o tem, jakby krajowi z tej pracy korzyść przynieść było można; do pewnego stopnia jest to zawsze możliwem; taka pośrednia korzyść dla kraju, szczególnie jeśli autor pracy jest początkującym, może być w wielu wypadkach większą od bezpośredniej z prac naukowych z dziedziny naszych stosunków, ponieważ prace ostatniego rodzaju, z powodu braku materyałów, są zazwyczaj o wiele trudniejsze, wymagają pewnego przygotowania w celu odróżniania materyału, mającego wartość naukową, pewnej rutyny w odpowiedniem wypełnieniu brakujących danych, co dla początkującego nie zawsze jest dostępnem. Dalej, pracujący w seminaryach za granicą (mam tu specyalnie na myśli seminarya nauk państwowych i prace ekonomiczno-społeczne) natrafiają na nieprzezwyciężone trudności techniczne, na zupełny brak materyałów co do naszych stosunków krajowych w bibliotekach zagranicznych; nie każdy z nich ma na to (najczęściej zaś nie ma), aby sprowadzać na swój koszt to, co mu jest do pracy potrzebnem, nie każdy może przerwać studya, powrócić do kraju i przy pisaniu pracy korzystać z bibliotek krajowych. Oto, zdaniem mojem, również powód, dla którego nie każda praca polska, wydana w obcym języku, traktująca obcy przedmiot, nazwaną być musi „straconym popisem.“

Sprawę tę poruszyłem nie dlatego, abym bronił tych Polaków, którzy wydają swe prace w językach obcych, ale ponieważ uważam, że bywają tutaj dosyć częste wyjątki, które na miano „straconych popisów“ nie zasługują. Do takich wyjątków zaliczam pracę p. Kudelki.

Zabrałem głos w tej sprawie, ponieważ przypuszczam, że p. Kudelka nr. 10 *Prawdy* czytać nie będzie; jako dobrze poinformowany w tej sprawie uważałem za swój obowiązek kwestyę wyświetlić.

Praca p. Kudelki jest inauguracyjną, podaną wydziałowi filozoficznemu na uniwersytecie w Halli n. S., w celu uzyskania stopnia doktora filozofii i dlatego drukowaną być musiała po niemiecku. Zresztą przed rokiem drukowaną była po polsku w *Przeglądzie powszechnym* i wydaną jako oddzielna odbitka (w nieco skróconej formie: „Syndykaty i spółki rolnicze we Francyi,“ Kraków, 1898, cena 75 ct., w drukarni Anczyca).

Tyle podać chciałem do wiadomości czytelników *Prawdy* w celu sprostowania przykładu, podanego przez autora „Straconych popisów.“

Kazimierz Woźnicki.

Nie mówiliśmy o wydawnictwach obowiązkowych (np. rozprawach doktoryzacyjnych), ale o dobrowolnych. Nadto nie przestaje być dziwnem, dlaczego doktoranci polscy wybierają przedmioty obce, kiedy nikt im nie zabrania pisać o swojskich, przeciwnie, takie rozprawy są na uniwersytetach zagranicznych bardzo chętnie widziane, gdyż wnoszą do nauki materyał nowy, często wcale nieznany. *Red.*

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według danych *Wiestnika finansów*, dotyczących własności ziemskiej w 49 guberniach Rosyi Europejskiej (bez Król. Polskiego, Finlandyi, Kaukazu i Obwodu dońskiego), z 391,000,000 dziesięcin ogólnej powierzchni Rosyi skarb posiada 38,5%, apanaże 1,9%, instytucye 2,1%, gminy włościańskie 34,2%, właściciele prywatni 23,3%. Około ⅔ powierzchni Rosyi Europejskiej stanowi własność rządu.

— Towarzystwo drukarzy w Petersburgu gotuje się do obchodu pięćsetnej rocznicy urodzin Gutenberga.

— Wszystkie prawie gubernialne komitety trzeźwości w Cesarstwie wypowiedziały się za zniżeniem zawartości alkoholu w wódce skarbowej do 35 stopni.

— Według sprawozdania za r. 1899 Tow. wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, istniejące od lat 15, liczy obecnie 2,421 członków (305 czł. protektorów i 2,116 czł. rzeczywistych). Dochody w r. sprawozdawczym wynosiły 22,441 rb., wydatki 22,185 rb. Kapitał zapasowy wynosi 28,009 rb. Fundusz wdów i sierot wynosi 12,458 rb., fundusz pomocy naukowej 4,297 rb., fundusz budowy domu 38,725 rb. Z zapomóg jednorazowych korzystało osób 34, z zapomóg peryodycznych — 20, na pomoc lekarską wydano w ciągu roku 847 rb., na koszty pogrzebowe 160 rb. Wydział rekomendacyi pracy miał w r. z. do rozporządzenia 714 posad, kandydatów 676, obsadził zaś posad 289. W r. z. Tow. nabyło na własność dom (oszacowany na 70,000 rb.) i utworzyło kasę oszczędnościowo-pożyczkową.

— Rada lekarska m. Petersburga rozesłała do właścicieli aptek okólnik, zalecający umieszczanie oprócz nazwiska właściciela również nazwiska zarządzających apteką farmaceutów, zarówno na szyldzie jako i na receptach i sygnaturach. Zarządzający odpowiadają za każdy wypadek omyłki, jaka się wydarzy przy wydawaniu lekarstwa.

— W Petersburgu zawiązuje się Towarzystwo imienia Zofii Kowalewskiej, mające na celu niesienie pomocy kobietom, pragnącym kształcić się w wyższych zakładach naukowych w kraju lub zagranicą. (*Wołyń*).

Szkoły. Według „Pamiątnej książki“ warszawskiego okręgu naukowego, w roku bieżącym w 21 gimnazyach klasycznych, 7 progimnazyach, w 4 szkołach realnych i w 1 szkole rzemiosł, tj. we wszystkich średnich zakładach naukowych, jest czynnych dyrektorów, inspektorów, nauczycieli, pomocników gospodarzy klasowych — osób 512, w tej liczbie 340 prawosławnych, 105 katolików Polaków 6 ewangelików Polaków, 33 ewangelików, pochodzenia niemieckiego, 18 katolików pochodzenia francuskiego, 5 ewangelików pochodzenia francuskiego, 1 katolik pochodzenia niemieckiego i 4 izraelitów. Wszyscy bez wyjątku dyrektorowie, inspektorowie (oprócz jednego katolika) i profesorowie języka rosyjskiego, historyi i geografii — są prawosławni. Wszyscy nauczyciele języka polskiego, w liczbie 26, są Polakami. Wszyscy nauczyciele klas wstępnych, w liczbie 30, są Rosyanami, z wyjątkiem jednego Niemca. Na ogólną liczbę 61 pomocników gospodarzy klasowych jest 53 Rosyan, 5 Polaków i 3 Niemców.

— D. 1 lipca r. b. zostaną otwarte w Moskwie wyższe kursy dla kobiet.

— W Żytomierzu powstał projekt założenia szkoły handlowej z dwoma oddziałami: męzkim i kobiecym. Na założenie szkoły zbierane są składki w sferach handlowych i przemysłowych.

Prasa. Główny zarząd prasy zatwierdził adwokata przysięgłego Emila Weydla na stanowisku wydawcy i redaktora czasopisma *Zorza*.

— Prezes warszawskiego kuratoryum trzeźwości czyni starania o pozwolenie na wydawanie organu p. t. *Wiadomości warszawskiego komitetu trzeźwości ludowej*. Pismo ma być wydawane w języku rosyjskim i polskim. (*Lub. Gub. Wied.*).

— Wydawca gazety finlandzkiej *Oestra Nyland*, otrzymał od głównego zarządu prasy ostrzeżenie za art. „Ciekawość“ (w nr. 15 z d. 24 lutego). Wychodzącą w Wazie gazetę *Vasa Nyheter* zawieszono na 4 miesiące za wydrukowanie w nr. 38 art. p. t. „Późniejszy cyrkularz.“ (*Wołyń*).

— Pp. Al. Morozewicz i Wł. Junosza Szaniawski otrzymali od głównego zarządu do spraw prasowych pozwolenie na wydawanie w Warszawie tygodnika p. t. *Goniec Handlowy*. Redaktorem odpowiedzialnym jest p. K. Sękowski.

— *Syn Otiecz.* zamieszcza notatkę p. t. „Potrzeby prasy.“ Najważniejsze potrzeby prasy wskazane zostały w podaniu związku literatów, złożonem na ręce h. ministra spraw wewnętrznych. Ten sam związek czyni obecnie starania o uzyskanie pozwolenia na zjazd pisarzów, na którym możnaby wszechstronnie i szczegółowo rozpatrzeć wszystkie sprawy. Autor artykułu zaznacza, że najbardziej pożądanem byłoby, aby przestępstwa prasowe nie były karane, jak dotąd, drogą administracyjną, lecz na podstawie wyroku sądu z udziałem sędziów przysięgłych.

Koleje i komunikacye. Nowa kolej Kijowsko-Kowelska będzie miała długości 423 wiorsty i 150 sążni. Roboty zaczną się zaraz na wiosnę. Rozpoczynać się będzie w pobliżu stacyi Żulany na odnodze Kijów-Koziatyn. Na nowej linii kolejowej będzie 13 wielkich mostów żelaznych; największe z nich zbudowane będą na rzekach Teterewie, Słuczy, Horyniu i Styrze. W roku 1902 nowa kolej ma być już cała oddana do użytku publicznego.

— Zjazd ogólny przedstawicieli kolei w państwie rosyjskiem zgodził się na wniosek ministeryum

rolnictwa stosowania taryf ulgowych do okazów, przesyłanych na wystawy rolniczo - gospodarcze, mające się odbywać r. b. w różnych miejscowościach państwa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu „A" w S. Niech jeszcze rosną skrzydła.

„Ten." Poezye, drukowane w *Prawdzie* i *Głosie*. Piękna 44.

Panu P. Win. Nie było żadnej omyłki. W 9 początek, w 10 — dokończenie.

Panu S. Sos. w Rej. Nie rozumiemy, o co Panu chodzi.

SPROSTOWANIE. W numerze 10 w artykule „Z życia Francyi" w 5 wierszu zamiast „liryka-dyplomatę" powinno być: księdza-dyplomatę; w wierszu 18 zamiast „Momigner" — Monsignor i w w. 29 zamiast „minionskich" — awiniońskich.

— Zarząd Towarzystwa Ogrodniczego warszawskiego podaje do wiadomości, iż w roku bieżącym zostaną przyznane przez Towarzystwo **zapomogi dla kształcącej się na polu ogrodnictwa młodzieży.** Kandydaci winni przed 1 czerwca r. b. (n. st.) złożyć w kancelaryi Towarzystwa (Bagatela 3, Warszawa) odpowiednie podanie z załączeniem: a) dokumentów osobistych wraz z treściwym opisem życia, własnoręcznie napisanym; 2) świadectwo zakładów ogrodniczych, w których kształcili się dotychczas.

— Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych podaje do wiadomości panów artystów malarzy, że zarząd stowarzyszenia artystów monachijskich „Künstler Genossenschaft," stosownie do zawiadomienia otrzymanego, urządza w Monachium doroczną wystawę w r. 1900, od dnia 1 lipca do końca października i zaprasza pragnących wziąć udział, z nadmienieniem, że deklaracye winny być nadesłano do dnia 30 kwietnia, dzieła zaś dostarczone być mają w czasie od 10 do 30 kwietnia r. b.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Марта 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.